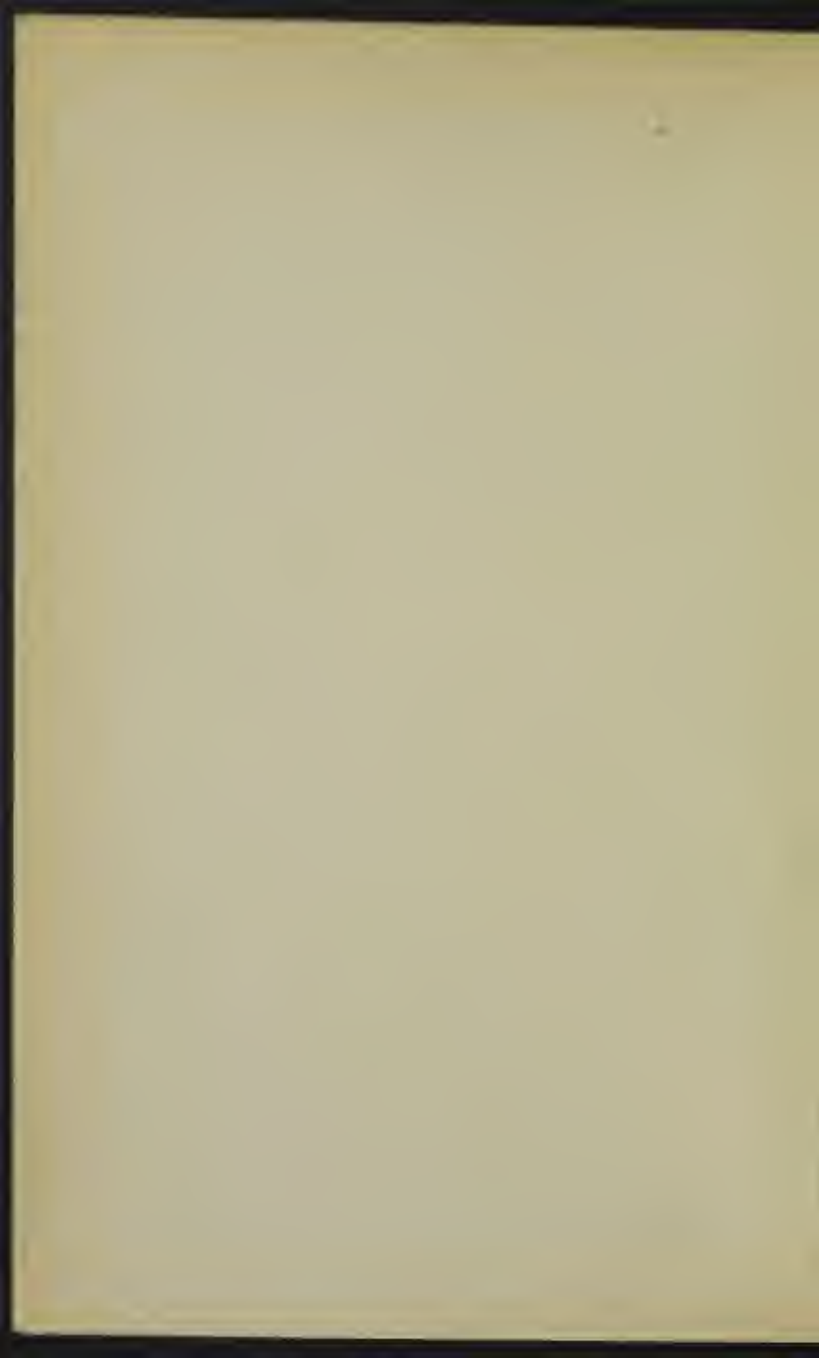


KROLEWSCY SYNOWIE.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VI.

KRÓLEWSCY SYNOWIE.

Powieść

z czasów Władysława Hermana
i Krzywoustego.

Tom II.

*Boleslae, Boleslae Dux gloriosissime
...defendis tuam terram quam studiosissime...*

*Pieśń obozowa niemiecka.
Gallus.*

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

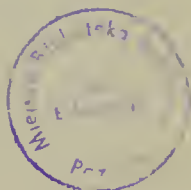
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Zamknięty więźniem w tych izbach Kruszwickiego zamku, w których szukał po bitwie schronienia, nie wiedział Zbigniew nawet co się działo dookoła; oprócz swęj straży milczącęj nie widując nikogo.

Przygotowywał się, rozmyślał nad obronę swęj sprawy, gdyby go badano, ale od króla nikt do niego nie przyszedł, głucha cisza go otaczała. Za hoń towarzyszący mu, trochę miał więcęj swobody, bo go przynajmniej na podwórce wypuszczano, mógł też czasem coś posłyszeć i przynieść. Lecz wieści te skąpe były. Wojska królewskie od zatrutych brzegów Gopła odciągnęły, obóz zwinęto, na grodzie tylu tylko ludzi pozostało, ile do strzeżenia go było potrzeba. Na pobojowisku nad jeziorem dla niedostatku wody i wielkięj ilo-

ści niepogrzebionego trupa królewscy długo nie mogli pozostać. Zgnilizna z ciał tylu śmiertelników wyziewy napelniała powietrze, z miasta nie pozostało nic, oprócz węglów niedopalonych i zamku, który ocalał; biskup nawet wyniósł się z tego pustkowia, jednego kapłana tylko zostawując przy kościele.

Zbigniewa jak prostego więźnia opatrywano w pierwsze do życia potrzeby, nie troszcząc się o nic więcej, jak by nie umarł z głodu. Strawę mu dawano też samą co straży, nikt ani spytał, czy czego nie potrzebuje. Dumnego królewicza więcej bolała ta wżgarda i zaponnienie, niżby może zemsta i męczarnie wymyślne dręczyły. Cierpiał milczący, lecz w duszy zbierało się zemsty pragnienie. Od wszystkich w świecie, nawet przez ojca był zapomniany. Zahoń pytany przynosił mu zawsze prawie jednostajne wieści z ust straży pochwytane, osobiście go nieobchodzące — nikt ani się zgłosił, ani spytał ni dowiedział o niego. Zdawał się przeznaczonym na powolne gnicie w tych murach, razem z trupami na Gople...

Upłynęło tak tygodni parę, gdy dnia jednego wpadł Zahoń z wiadomością, że na kruszwickim zamku dla wody zepsutój i chorób między ludźmi, załoga wytrwać nie może, zatem ją i ich gdzieś zapewne indziej przesadzą.

Dokąd? Zahoń się nie mógł dowiedzieć.

Jednego mroźnego ranku jesieni, ujrzał Zbi-

gniew przez drewniane okien kraty, że konie z szop wyprowadzano i ludzie się krzatali żywo. Ruch na pustem zwykle i cichem zameczysku był nadzwyczajny, radość jakaś nieznana brzmiała w głosach ludzi, bo wszystkim szczęściem się wydawało uciec z tej pustki, w której oddychać było ciężko, żyć straszno i powoli konać musiał każdy, czując jak zeń życie ucieka.

Wysłany Zahon potwierdził, iż z Kruszwicy wyciągać mają. Zimny był dzień, a królewicz odzieży inną nie miał nad tę, którą w dzień bitwy wdział na siebie. Gdy Sotnik co mu miał towarzyszyć wszedł do izby, zażądał Zbigniew kożucha na drogę.

Dano mu prosty niepowleczonej nieczem, barani, zdjęty z któregoś z ludzi, bo innego dlań nie było. Koń też, na którym miał podróż odbywać, z sierścią najeżoną, obrosły, dziki, nie pańsko wyglądał. Podesłano kawał sukna grubego, a sznury za wodze służyły. W podwórzu gęsta straż otoczyła Zbigniewa z oszczepami w rękach, i tak ruszyli za wrota. Pierwszy raz od pamiętnego dnia bitwy Zbigniew miał spojrzeć na dzieło swoje. Z Kruszwicy nie prawie nie zostało. Tam gdzie było miasteczko, ani jednej całej chałupy ogień nie oszczędził, w kilku tylko miejscach powracające zbiegi sklecili ubogie szalasy. Czarne zgłiszcza szeroko zalegały stopy wzgórza, gdzie-

niegdzie sterczały na nich niedogorzałe belki i ściany.

Od jeziora wiatr przynosił woń jakąś straszną, która upajała i truliła. Wody stały gęste i mętne, gdzieniegdzie brudną pleśnią okryte. Nad niemi ptacy podlatywali krzycząc żałośnie. Nigdzie człowieka, bydłęcia, znaku życia — śmierć dokoła i zniszczenie.

Na zrytém końskiemu kopytami pobojuwisku, trawa porosnąć nie miała czasu, czerniało nierówne, poszarpane, świecąc gdzieniegdzie kośćmi już przez kruki i dzikiego zwierza odartemi.

Zbigniew, choć nie wiele czucia miał, wzdrygnął się patrząc. Jakby naumyślnie straż go powiodła kawał drogi wzdłuż tego pobojuwiska, mogilami zasianego, na którém czaszki pod kopyty końskiemu chrupały zgniecione, ponad zagniętymi wody jeziora, pluszczącemi skargą umarłych. Wiatr jakiś nagle zerwał się od Gopła i świstał, jęczał, szumiał głosami dzikimi. Zahon spuścił głowę, spojrzeć nie śmiał, uszy sobie zatulił kołnierzem, drżał cały, zdało mu się, że duchy zabitych widzi przed sobą, rad był popędzić konia, ale strażę wolno jechały, pospieszać nie dając.

Do Zbigniewa nikt nie mówił słowa, jechał sam z Zahoniem, jak opuszczony, wzgardzony winowajca, którego na stracenie prowadzono. Sotnik Mrówiec, człek prosty, raz czy dwa z ukosa

na królewicza spójrzawszy, nie okazywał dlań dobrej woli, ani się myślał zbliżyć do niego. Zahoń go zagadywał kilka razy, dokąd jechali, nie odpowiedział mu nic, tylko ramionami potrząsał.

Zbigniew trwożyć się zaczynał.

Drugiego dnia, gdy Zahoń próbował znów sotnika badać z pokorą, prosty chłop odrzekł szydersko.

— Nie bójta się — będzie wam dobrze! Kto się dostał w ręce naszego pana miłościwego, Wojewody Sieciccha, z rąk się jego żyw nie wydobędzie. Wy jemuście pod straż oddani, — czego więcej chcieć?

Przykazanie jest, gdyby który uciekać chciał, oszczepem go!!

Słyszał to Zbigniew, dreszcz poszedł po nim. Ani on, ani Zahoń krajn otaczającego nie znali, odgadnąć więc nie mogli dokąd ich prowadzono. Na noclegu z zaściany, przysłuchując się ludzi rozmowie Zbigniew pochwycił nazwisko Guieżna, kilkakroć powtórzone. Z tego się domyślił, że zapewne ich na gród ten prowadzono. Skłonny do tłumaczenia sobie na dobre tego co go spotykało, nabrał królewicz lepszej myśli. W Guieżnie prędzej żywą twarz zobaczyć, głos ludzki posłyszeć mogli.

Przy kościele znajdowali się księża liczni, do których Zbigniew uciec się miał nadzieję i przez nich coś może u króla uzyskać.

Myśli różne snuły mu się zawczasu po głowie, roil przez drogę całą. Zaboń, który w początkach widział go ponurym i niemal zrozpaczonym, zdziwił się, gdy drugiego dnia zobaczył pana uśmiechniętym, mrugającym oczyma, dosyć żwawo i ochotnie zabierającym się do dalszej drogi.

Powolnie bardzo posuwał się ów orszak królewiczowski, wynędzniałe mając konie, słabych ludzi. Stawano ciągle na spoczynki, popasano często i długo nad miarę, na noclegi stawano zawczasu, ruszano z nich późno. Nikomu widać spieszno bardzo nie było. Wreszcie nad wieczorem dnia jednego pokazała się Lechowa góra i gnieźnieńskie zameczysko. Zdala już widać było bielejące jaśniej mury kościoła, który teraz dopiero po zniszczeniu owém za bezkrólewia po Mieszkę i Łupięży czeskiej odbudowywano. Zmierzało zupełnie, nim się powoli wlokąc, do okopów i bramy zamku dostali.

Tu dokoła grodu całe inne niż w Kruszwicy było życie, ludu mnóstwo, wozów wieśniaczych po drodze, pieszych i konnych żołnierzy na zamek i z zamku spieszących.

Podwóree obszerne, do których się dostali, pełne też były różnego tłumu. Wśród żołnierzy przesunęło się dniehowieństwo, które w części kościoła odrestaurowanej już nabożeństwo odprawiało; robotnicy też obcy, jak z odzieży poznać

było łatwo, do budowy i ozdoby świątyni sprowadzeni, w znacznej się liczbie kręcili.

I języki słychać było rozmaite wśród tłumu.

Gdy gromadka przybyła, stanęła w dziedzińcu, wyszedł zaraz starosta grodowy (castellan), człek stary, szubą okryty, w czapce ogromnej, za nim klucznik i inni czeladź, aby przyjąć królewicza z rąk straży.

Nikt mu jednak i głowę nie skinął. Z konia zsiadłszy pod strażą iść musiał pieszo na tylną część zamku, gdzie dlań izba stała gotowa jedna, a przed nią druga, w której stróże pilnować go mieli.

W oknach tej izby pustej, w której ledwie ławy brudne, stół prosty, a w rogu tarczan był sianem przyrzucony — w oknach blon nawet na zimę nie wprowadzono, tylko kraty gęste i okienne zasuwane.

Zawiedziono go tu nie mówiąc doń, nie spytawszy o nic, ledwie nań patrząc, jak prostego winowajcę, którego jutro tracić mają.

Starosta drzwi i okien mocy próbował, stróżom wydał rozkazy i poszedł precz jakby Zbigniewa unikał.

Zahoń się musiał upominać o skórę na posłanie, o jadło po drodze głodnej, o ogrzanie izby zimnej. Zbigniew milczał. Naniecono ognia trochę z mokrych gałęzi, który więcej dał dymu, niż ciepła. Noc zaszła ich słuchających świstu wichru,

który szalał do rana, bijąc o ściany, wciskając się do środka, mimo pozasnuwanych okiennic.

Choć przyjęcie to złą wróżbą było dla królewicza, Zbigniew nie stracił nadziei. Zahon patrzył mu w oczy zdziwiony, przybity, nierozumiejąc go, zbywany szyderstwami i łajaniem. Jemu tu nie lepiej było, endzo jeszcze i z ludźmi obcymi ciężko, bo się obchodzili z nim ostro i surowo.

Trzeciego dnia rano, Zbigniew wstał z twarzą rozjaśnioną, jakby mu się co szczęśliwego zdarzyło, zawołał do siebie Zahonia i zburezał go za ponure wejrzenie.

— Idź mi zaraz, rzekł do starosty, powiedz mu odemnie, żem księdza nie widział oddawna, mszy nie słuchał, spowiedzi nie odbył, tego i na ścieście idącym nie odmawiają.

To mówiąc, uśmiechnął się chlubiąc przed Zahonem chytrą swoją, na której ten się nie poznał.

Posel spełnił co mu polecono.

Starosta wysłuchał, nie odpowiedział nic i ręką go odprawił. Powrócił z niezem, ale z południa Zbigniew, który znaczniejszą część dnia wylegał się na posłaniu, postrzegł przybywającego duchownego. Prośba została spełnioną.

Wszedł krokiem powolnym, nogami sunąc, przygarbiony staruszek w czapce z uszami, z kijem w ręku, pozdrawiając wedle obyczaju chwałą Chrystusową.

Królewicz uradowany zerwał się doń żywo i pospieszył do ręki. Zahoń stojący z boku zdziwił się, widząc go nagle tak zmienionym, jakby innym był człowiekiem. Postawę przybrał pokorną, jaką miał, gdy klerykiem był jeszcze, twarz smętną i spokojną, szedł z oczami spuszezonymi ku ziemi. Zuchwalstwo obozowe i buta znikły, zastąpił je wyraz niedoli, pogwałcenia i poddania się nieszczęśliwemu losowi.

Ksiądz zapewne uprzedzony, spoglądał nań z ciekawością, a razem pewnem niedowierzaniem. Usiadł mruczając coś niewyraźnie i wpatrując się w człowieka, który litość musiał obudzić.

— Ojciec mój, poczał Zbigniew głosem do postawy zastosowanym, najnieszczęśliwszego z ludzi widzicie przed sobą, niewinną ofiarę za grzechy cudze pokutującą, oszczerstwem obłudzaną, oczernioną złością ludzką. Aliści nie żałę się za grzechy pokutując i skarbiąc sobie łaskę Bożą, boleję tylko nad jednem, że mi największy skarb na ziemi, miłość i seree ojcowskie wydarto, wszelkić pociechy pozbawiony, jako prosty niewolnik do ciemnicy rzucony, cierpię w pokorze dopust i krzyż pański!

Mówił to z takim uczuciem, gorąco, serdecznie, iż ksiądz poruszył.

— A pocóż było dziecko moje — odezwał się staruszek — po co było Chrystusowe porzucać gniazdo, i suknię zwlekać co pokój duszy daje?

— Gwałt mi uczyniono, ojcze! — odparł Zbigniew.

Ksiądz popatrzał nań, potrząsając głową, wi-
dać było, że pragnął uwierzyć w to co słyszał,
a lękał się być łatwowiernym i oszukanym.

— W klasztorze — ciągnął dalej głosem skru-
szonym królewicz — miałem, choć zapomniany
przez ojca ziemskiego, niebieskiego ojca pociechę,
wspólną modlitwę z braćmi, w ofierze codziennęj
uczestnictwo — tu i tego jestem pozbawiony.

Tak się rozpoczęła rozmowa, w ciągu której
Zbigniew usiłował się okazać pobożnym, stęsknio-
nym za religijną pociechą, błagając, aby mógł
kiedy niekiedy przynajmniej przypuszczonym być
do wspólnej z duchowieństwem modlitwy.

Staruszek słuchał tego wylewnu wyrazów, ply-
nących z ust królewicza obficie, łatwo, przekony-
wująco. Z początku uszom wierzyć nie chciał,
później z wolna się dając ująć wymowie, której
głos nawet drżący i łzawy dopomagał — uległ
wrażeniu milemu dlań. Znalazł człowieka potępio-
nego lepszym niż się spodziewał. Począł pocie-
szać więźnia. Nie śmiał mu jeszcze nic obiecywać,
lecz przyrzekał się starać, aby losowi jego ulżono
i dozwolono mu, choć pod strażą chodzić do ka-
plicy i do spowiedzi przystępować.

Ucałował ręce jego Zbigniew, a gdy staruszek
dłużej nad zamiar zasiedziawszy się, ruszył ku
drzwiom, odprowadził go zgięty w pół do progu.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, a ów królewicz tak nieszczęśliwy zmienił się w zuchwałego młokosa, jakim był przedtém. Zahoi stojący w kącie osłupiał.

Twarz Zbigniewa rozmaszczyła się, oczy przy-mrużyły szydersko, usta otwarły uśmiechem, ukazał na drzwi i zatarł ręce.

Zahoi proste chłopię z uwielbieniem był dla swego pana, który tak sztucznie niemię się umiał, popatrzał nań i poszedł w swój kąt rozmyślać nad tą dziwną naturą pańską.

Drugiego dnia już na mszę ranną pozwolono Zbigniewowi do kościelnej kaplicy.

Czcigodny starzec arcybiskup Marcin, wedle dawnego kościelnego obyczaju, na biskupim tronie siedział za ołtarzem i teje mszy przez kapłana swego odprawianęj słuchał. Zbigniew w owym brudnym kożusku, w ładajakich chodakach, z włosami odrosłemi, które mu się w nieładzie jeżyły na głowie, błyde, wymęczony, stał nieszczęśliwy widokiem swym istotnie serce mogąc litościwe poruszyć.

Było to przecież królewskie dziecię!—Arcybiskup Marcin znanym był z wielkiego miłosierdzia i cnoty chrześcijańskiej. Ujrawszy tę królewską krew w takiej poniewierce i poniżeniu, zapłakał nad losem biednego więźnia,—słyszał już o nim od staruszka O. Laurentego, który wprost doń wczora poszedł, niosąc mu obraz tej niedoli i skruchy.

Przez cały czas mszy świętej, arcybiskup patrzył na królewicza, po kilkakroć ocierając oczy.

Gdy się msza skończyła, odprowadzono jeńca nazad, ale miał już opiekuna i obrońcę.

Tegoż dnia arcybiskup wezwał do siebie starostę grodowego, dla którego najwyższy dostojnik duchowny królestwa, na równi był z królem. Na leżała mu też sama cześć i posłuszeństwo.

Począł go badać staruszek o więźnia, dając do zrozumienia, że choć rozkazy Sieciecha ostre i surowe były, miłość chrześcijańska użyć losowi królewskiego syna nakazywała.

Rada arcybiskupa była rozkazem. Za nią wnet poszło i lepsze łóżce, i odzież nowa, i strawa znośniejsza. Zwycięzko na to wszystko nakazywał Zahoniowi królewicz, ale gdy O. Laurenty przychodził, lub kto z zamkowej straży go odwiedzał, wracał do smutku i pokory, wydając się im niewinnym barankiem i ofiarą.

Gdy znowu kiedyś przybył O. Laurenty, począł mu obszernie opisywać królewicz niemal ze łzami, jaką przemocą, mimo prośb i zaklęć z klasztoru go wyrwano, jaką nad nim w obozie tyranję wywierano, zmuszając do powstania przeciwko ojcu własnemu.

Poruszył też do głębi staruszkę, który zupełnie mu uwierzywszy, starał się go pocieszyć.

Rozeszła się potem po zamku wieść, jakiego to bogobojnego młodziana trzymanego w srogiej

każni z winy tych zdrajców, co za narzędzie go używszy, sami wprawdzie marnie zginęli, ale królewiczowi świat zawiązali.

Obrztał się nadewszystko arcybiskup Marcin i płakał nad sponiewieraną krwią królewską, a gdy mógł potajemnie ze stołu swojego posyłał jedzenie i droższe nad nie słowa otuchy i nadziei.

Arcybiskup Marcin stał na czele duchowieństwa polskiego, tak jak kościół Gnieźnieński był matką wszystkich innych w kraju całym; na równi z królewską była powaga jego i władza, a poniekąd nawet przechodziła ją, gdy szło o sprawy wiary i sumienia.

Pobożny król, chociaż nęgał ślepo Sieciechowi posłuszniejszym jeszcze kościołowi być umiał. Uczył przykład Szczodrego świeży jeszcze, uległości dla duchownej władzy.

Na tę miłość jaką sobie pozyskał, zarabiał Zbigniew nadzwyczajną pokorą i rezygnacją. Słuchając mszy świętej, najczęściej w obec arcybiskupa korzył się, padał na ziemię, wzdychał i łzy ocierał, a wróciwszy do izby, gdy nikogo nie było oprócz Zahonia, śmiał się przechwalać przed nim, jak chytrze umiał sprawę swoją prowadzić.

— Nie będziesz żałował, - mówił mu, - jeśli się przy mnie zostaniesz, a ja cię będę na swoim. Wstałim tu przed tobą, a ty będziesz moim królem, a ty będziesz moim królem, a ty będziesz moim królem.

przystało. Wówczas ci się też bieda terażniejsza nagrodzi.

Zahoń w końcu już w to uwierzył.

Tak stały rzeczy, gdy jednego rana ów wierny towarzysz powróciwszy do izby z podwórca, długo przed ogniem stał w zamyśleniu jak osłupiały, potem nagle zwracając się do pana, zawołał.

— Miłościwy panie! Czy też to może być, że bym ja na moje oczy widział Marka Sobiejuchę?

— Kiedy? gdzie? spytał Zbigniew.

— Tutaj, dziś — odparł Zahoń.

— Marko przecie pod Kruszwicą zginął, biedaczysko — rzekł królewicz.

— Albo to on, albo rodzony brat, albo kto do niego jak dwie krople wody podobny — rzekł chłopak.

— Gdzież i jak go widziałeś? — odezwał się obojętnie Zbigniew.

— W podwórzu, tysiącnikami nad wojskiem. Nietylko twarz, ale i głos ten sam — rzekł Zahoń.

— A on? widziałeś ciebie?

— Powinien był, ale czy znać nie chciał — czy... nie wiem! mówił chłopak. Patrzył się na mnie i odwrócił.

— Toć nie on chyba — rzekł Zbigniew, — mało ludzi do siebie podobnych! Zbliżyć się było.

— Krzyczał i łajał strasznie na ludzi, w gniewie był jakimś, nie śmiałem, — rzekł chłopak. — Dziw, bo i oponeza na nim taka sama...

Królewicz pokiwał głową zdumiony trochę.

— Opończę widziałeś nie człowieka—odezwał się,— oczy cię omyliły — w bitwie padł.

— A! nie— rzekł żywo Zahon,—przed bitwą go nie stało. Trochę się pozostał w tyle, a potem go już nie widział nikt.

W parę dni potem zaciekawiony Zahon, który widmo Markowe ścigał, przyniósł z podwórza wieść że Marko był ten sam, żyw i zdrow, ale ani znać ani gadać nie chciał z nim, bo był w służbie królewskiej.

Kazał go do siebie przywołać Zbigniew, ale kilka dni uganiając się za nim, Zahon zbliżyć się doń nie mógł, a gdy wreszcie sam na sam, w cztery oczy go przydybał, Marko mu rzekł ze złością.

— Idź precz! znać was nie chcę.

Rozgniewał się królewicz i począł odgrażać. W kilka dni jednak po tem zarzeczeniu się Marko zmiarkować musiał, że niebezpiecznie było syna królewskiego się zapierać, aby przez niego nie być wydanym. Sam przystąpił do Zahonia i zapowiedział mu, że się którego dnia na straż do nich wyprosi i z królewiczem zobaczy. Tak się też stało. Po głosie poznał Zbigniew zaraz gadatliwego Marka, który do niego wszedłszy, na-przód od tego począł, że wszystkie kąty przepatrzył. Kraty w oknach mocował, zasławy probował, a dopiero ludzi swych porozsyławszy, do rozmowy się stawiał.

— Jakżeś ty się ocalił?— zapytał go królewicz.

— Wyrażną łaską i cudem Bożym, a patrona mego Ewangelisty opieką, — zawolał Sobiejucha ręce składając i wywracając oczy. Do tylnej straży docierałem, aby zobaczyć co się tam dzieje, gdy pierwszy zostałem napadnięty przez cały utiec... Dwudziestu położyłem trupem broniąc się, tymczasem z tyłu ciał mnie w łeb ogromny gbur, aż mi czerep na dwoje rozplątał, padłem jak nieżywy na pobojowisku. Szczęściem krzyknąłem lecąc na ziemię. — Ratusz Marku święty, i dwie połowy czerepa rękami ścisnąłem, a w tej chwili natychmiast się zrosły... cudem! a tu jak poczęli mnie kołami tratować, trupy na mnie walić, myślałem, że ostatnia przyszła godzina. Zostało mi tylko tyle luzu, żem miał czem oddychać. Leżałem tak przyczaiwszy się do nocy; dopiero pociemku się wydobył, konia pochwyciłem ranego w miasteczku, z którego trzewa wyszły. Włożyłem mu je nazad, zawiązałem chustą i na nim bez tchu leciałem dwie doby, nie jedząc i nie pijąc.

Dopadłem w lesie chaty litościwych ludzi i baby, która się na zieli znalazła, jak zaczęła mnie smiarować, we dwa dni postawiła na nogi.

Sobiejucha telnął mocno i kaszłał.

— Co było robić!—dodał— przystałem do królewskiego wojska — człowiek musi żyć — ale to hołota!!

Opowiadał przytém Marko różne rzeczy o ko-

niu i o sobie takie, iż naprawdę cudu trzeba było, aby się one stać mogły. A pamięć mu się jakoś tak zmieszala, od owego rozplatania czerepa, że za każdą razą coraz inaczéj przygody swe opisywał.

Z mowy i całego obejścia się Sobiejuchy znać było, że równie się musiał obawiać popaść u starosty w podejrzenie, jak u Zbigniewa w nielaskę.

Zabawiwszy tu krótko począł się wymykać, obawiał się bowiem, że mu niedowierzano, i nieźniemiennie ostrożnym być musiał.

Nie było go potem widać długo, a gdy Zahon spotkawszy się z nim w podwórzu zapraszał aby przyszedł, wymawiał się tém i owém, przysięgając, iż nań oko mają, że mu nie wierzą, i że dla wielu nieprzyjaciół i zazdrosnych musi się na każdy krok swój oglądać.

Niewdzięczność ta Marka nie wiele obchodziła królewicza, nagradzała się ona sowiec coraz większą laską arcybiskupa Marcina, który nad dzieckiem królewskim lzy ronił, widząc je ciągle tak pobożnie modlącym się pokorném i cichém.

Powoli za jego wstawieniem się do starosty, los Zbigniewa polepszał się ciągle. Nie broniono mu chodzić do kościoła, a niekiedy przy dozorze po podwórcach ku wałom się przechadzać.

Arcybiskup posłał mu krzyżyk przez siebie poświęcony i o święte relikwje sfarty; nareszcie

gdy raz z kościoła wychodził, spotkał królewicz niespodzianie sędziwego starca na drodze.

Zatrzymał się O. Marcin i zbliżył ku więźniowi, nad którym tak wielką miał litość. Zbigniew przyszedł rękę jego ucałować, prosząc o błogosławieństwo przybrał postawę tak uniżoną i zboliałą, że arcybiskup bardziej jeszcze uczuł się przejęty losem jego.

— Nie trać nadziei dziecko moje — odezwał się doń pocichu zakreślając krzyż nad głową jego — Bóg próbuje człowieka, przez cierpienie go prowadząc do doskonałości, a gdy widzi serce czyste, odejmuje brzemień i łaskę swą spuszcza na niego. Nie trać nadziei dziecko moje!

Powtórzywszy te słowa, oddalił się starzec świątobliwy. Zbigniew uradowany powrócił do izb swoich, ledwie w sobie mogąc radość utrzymać. Ulubienca Zahonia poklepał po ramieniu i szepnął mu.

— Terazem pewien, że wyjdę z tego zwycięczko! Arcybiskup nie darmo nadzieję mieć każe. Ma on neho królewskie. Choćby Sieciech stokroć do surowości namawiał, przemoże arcybiskup skłaniając do przebaczenia.

Ha! — krzyknął unosząc się — naówczas dopiero zagramy z Sieciechem, zagramy z Bolkiem o lepszą. Ten co siedział w więzieniu, drugich też do niego sadzać potrafi, — niech wiedzą jak to słodko żyć spętanemu.

W miarę jak arcybiskup coraz jawniej okazywał Zbigniewowi łaskę swoją, Marko też ośmieszał się przybliżyć, postać niekiedy w izbie, przynieść jaki mały podarek lub posiłek. Czynił to jednak zawsze tak ostrożnie, że go prędkiej o srogość niż o słabość dla więźnia posadzić było można.

Zbigniew jak przyczajone zwierzę, które się w kłęb zwija, chowając zęby i pazury, samą pokorą i niewinnością okazywać się umiał. Wiedząc że się tęp przypodoba starszskowi, w nabożeństwie szczególną okazywał gorliwość, a ilekroć przy wyjściu z kościoła, mógł się do niego odezwać, opowiadał o swęj miłości dla ojca, dla rodziny, o sieroctwie swém, zaręczając, iż nic nie pragnął oprócz spokoju, aby dziełami miłosierdzia Boga mógł chwalić i za ocalenie swe dziękować.

Po każdym takim wystąpieniu powróciwszy do izby, królewicz śmiał się do Zahonia, który mu uśmiechem odpowiadał i zwierzał się przyśzłych myśli.

— Zapłacą oni za moją niewolę! mówił do wiernego sługi, liczę i zbieram co mi się od nich należy!—Jak w piśmie stoi, odbiorę od nich ząb za ząb, oko za oko, nie daruję nikomu!

Zamiast wdzięczności dla sędziwego arcybiskupa, Zbigniew szydził z jego łatwowierności, wyśmiewał dobroduszość, naśladował ruchy i głos

jego, rozezulenie i płacz, co głupkowatego Zahonia niewymownie bawiło.

W takim życiu dość jednostajnym dnie w Gnieźnie upływały. Gdy Sieciech wojewoda, Skarbmierz lub kto inny ze starszyny na gród przybywał, zamykano więźnia i wychodzić mu nie dawano. Po wyjeździe ich wracał do pewnej swobody i w środku zamku obracał się jak chciał.

Lecz rok, dwa, może dłużej nawet z nadzieją przeżyć takim życiem ciężko. Rachuba na arcybiskupa zrazu pewna, zaczynała się coraz mniej prawdopodobną okazywać — bo skutku żadnego nie miały obietnice — ponawiał staruszek przyrzeczenia jakieś nieoznaczone — głuche, nie mówiące ani kiedy, ani jak się one spełnić mogą. Z wielkiej radości Zbigniew wpadał w rozpacz i zwątpienie. Śniło mu się już po głowie, nie spuszczać na żadne obietnice, wydobyć z zamku pokryjomu, zbiedz na Pomorze, gdzie się zawsze znaleźć sprzymierzeńców spodziewał — albo się schronić do Czech, które mu pomódz były powinny.

Zahoniowi już był nawet polecił ludzi sobie jednać i szukać środków do ucieczki, ale chłopię bojaźliwe i niezręczne do podobnej roboty wcale się nie zdawało. Łajanie i szyderstwa z niego nie pomagały; przybity niemi stawał się jeszcze mniej obrotnym.

Z Markiem, jak się okazało z próby, ani mówić było o tem można.

W tém rozeszła się wieść, że w roku tym, dnia pierwszego Maja, w święto apostołów Filipa i Jakóba, kończąca się w Gnieźnie katedra, poświęconą być miała nroczyście. Na dzień ten zjechać miał z Płocka król Władysław, królowa, Bolko, Sieciech i wszyscy niemal biskupi z kraju całego.

Zdało się Zbigniewowi, iż arcybiskup ten właśnie dzień wybrać może, aby za nim do rodzica przemówić i przebaczenie mu wyjednać.

O. Marcin wyraźnie dnia tego nie oznaczył, ale się kazał domyślać, iż chwila stanowcza się zbliżała.

II.

Rok to był wcześniejszego ciepła niż zwyczajne lata. W kwietniu już naprzód zielonością podszyły się lasy, zazieleniały strumieni brzegi, posrebrzyły łązy, wierzby bujno puściły, brzozy rozpękać zaczęły, słońce dogrzewać, a choć czasem jeszcze, po ciepłe przedwczesném zerwała się burza i sypnęła krupami zmarzłemi, ubielila ziemię na chwilę, słońce wnet powracało zwyciężkie, niszcząc ostatnie zimy ślady.

W końcu miesiąca już tylko dęby stały napęczniałe a ostrożne, resztką drzew młodem listkami i zielonością żywą się ubrała.

Ozime siewy na małych półkach, gęstą zielenią zaścielewały ziemię jak kobiercem, po lasach zawodziło ptastwo pieśni wiosenne, a po kotli-

nach widzieć już było można marcowe zajaczki male, z panią matką uczące się kociego tańca.

Piękne te dni młodej wiosny wybrał właśnie arcybiskup Marcin Zabawa do poświęcenia swojego ukochanego kościoła, w którym znów, eudem ocalone zwłoki świętego Wojciecha ku czci wiernych wystawione były. Radowało się serce świątobliwego starca iż wielkie dzieło mógł dokonać, pierwszy ów kościół główny Mieczysława i Dubrawki podnieść z gruzów, przyozdobić, piękniejszym jeszcze uczynić niż był wprzód.

Mąż to był święty ów starzec, który o niczem więcej oprócz chwały Bożej a miłosiernych uczynków nie myślał, a enotą swą wyniósł się tak wysoko, bo ta choć zazdrość obudza, w końcu złych nawet potęgą swą zwycięża.

Arcybiskupie jego dostojęństwo było prawdziwem „brzemieniem za grzechy“ (*onus pro peccatis*), bo, choć wysoko stała ona pierwsza katedra w ziemiach polskich, spokoju na nią, ani rozkoszy zażyć nie było można. W ruinach leżały kościoły, pustkami klasztory, zdziczałemu ludowi na nowo apostołować musiano, a duchowieństwo z różnych narodowości i rozmaitych ludzi złożone, surowej do utrzymania w karności potrzebowało dłoni. Gdziekolwiek wkradalo się rozprężenie, podnosiła głowę samowola, tak że do stolicy rzymskiej odwoływać się musiano, i z jej ramienia zesłanemi nowy wprowadzać porządek.

Oprócz starania o dusze, arcybiskup świeckich téż spraw zaniedbywać nie mógł. W rozdzielonem państwie, którem Sicciech rządził, usiłując je złąć w jedno, niustannie zwaśnionych z nim nieprzyjaciół, powstających przeciw niemu podwładnych właśnie godzić przychodziło, zażegnywać burze.

Król dobry był lecz słaby, królowa płocha i na swe dostojenstwo nie baczna a rodem cesarskim dumna, w rodzinie pańskiej gotowały się zatargi lub gorszy może nad nie zamach na władzę... Sicciecha potęga rosła, wiedzieli wszyscy iż panowanie sobie przywłaszczyć pragnie i pory tylko sposobnej czeka. Wszystko to arcybiskup z wysokości powagi swój i duchownej władzy musiał hamować, powstrzymywać, przewidywać i zapobiegać złemu.

Mąż był ducha apostołskiego, wiary gorącej, prostoty obyczajn wielkiej, który nie mądrością ziemską i rachubą ludzką, ale odwieczną prawdą drogi swoje torował, Tej on nie zrzekał się nigdy choćby na pozór z ludzkim rozumem nie była w zgodzie.

Źle czynić aby dobrego dokonać nie umiał: wierzył iż cnota owoc wydać musi zbawienny a światłość nad ciemnościami zwycięży.

Z uśmiechem prawie dziecinny na ustach, bez gniewu w sercu, bo tego nie znał, mąż prawy głosił prawdę i stał przy niej wiernie. Sam żył

jako najuboższy kapłan, nie potrzebując dla siebie nic, dla kościoła wymagając wiele, dla biednych oddając. Jak ów patron, którego nosił imię, nie tylko płaszcz, lecz choćby nawet koszulę. Od złych odwracał się, ale się nad nimi litował i za nich się modlił. W zło zaś nie rad wierzył i nie widział go chętnie, zawsze sobie czémś dobrém, a zwłnietém tłumacząc postęпки ludzkie

W jego sercu Zbigniew znalazł litość dla siebie i niesprawiedliwienie. Bolał arcybiskup nad tém że król dziecko własne dręczył, widząc w tém raczej dzieło Sieciecha niż rodzica.

Nie mylił się w tém starzec pobożny.

Już na dni kilka przededniem SS. apostołów Filipa i Jakóba na zamku Gnieźnieńskim widać i czuć było gotującą się uroczystość wielką. Gości, duchowieństwa świeckiego i zakonnego spodziewano się wielu. Dla króla i królowej sposobiono dworzec stary, po czeskiej napaści odbudowany, dla braci biskupów, gospodarz własne domowstwa gotował. W podwórcach dla mnogich dworów i czeladzi namioty stanąć miały. Drogę z zamku do kościoła wysadzono młodą brzezina, ozieleniono nią budowlę, posieczoną jedliną i kosaciami wysypywano drogi dokoła.

Wszystko się cieszyło i radowało uroczystości a szczególnież duchowieństwo, które ze wszystkich ziem, klasztorów, grodów przy pływalo na wesołe świętki.

Staruszek uienustannie prawie siedział w kościele, albo go obchodził, czuwając nad tą swą obłubienicą, coraz jeszcze coś starając się przyczynić ku jej ozdobie i blaskowi.

Niestety! — nie były to już czasy owe Bolesława Wielkiego, gdy złoto stosami brył leżało po skarbcach, gdy się go tysiące grzywien rozdawało kościołom na olbrzymie krzyże, na grube blachy do obicia oltarzów, na naczynia do ofiar świętych. Mimo pobożności króla, nie przynosiły mu wojny jego takich łupów, aby z nich dziesięcina mogła ozłocić świątynie. Owych porwanych przez Czechów krucyfiksów złotych, zasłon oltarzowych, pod których brzemieniem łamały się wozy, nie było z czego ulać na nowo. Świeciła jednak nowa katedra i kruszcem i kunsztem przybrana, zawieszona oponami, kościami wysłana: obrazy ozdobnemi jaśniejąca.

Wielki oltarz, nad którym w powietrzu unosił się zawieszony gołąb, godło ducha świętego, niebieską szklistą emalją okryty, stał nieco od chóru odsunięty. Poza nim ławy były dla duchownych, tron dla biskupa, pulpit ozdobny dla śpiewaka. Tu spoczywała olbrzymia księga, skarb drogi, z której czytano pieśni.

Przodem odgradzała oltarz galeria ciężka srebrnemi obita blachami, presbiterium od kościoła dzieląca, na której ogromne sterczały świeczniki. Nad nią w górze na tarczy widać było, jakby

w niebiosach rozpięty krzyż z obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela, pod którym dwie boleściwe stały postacie ze załamanemi rękami, matka niepokieszona i uczeń najmilejszy.

W pośrodku kościoła widać było, na niskich a grubych słupkach leżący grobowy kamień Dubrawki. Święte relikwie Wojciecha, leżały, wedle prastarego obyczaju, w Krypcie podziemnej pod wielkim ołtarzem.

Swieczniki srebrne, na których jakby splecione węże i zwyciężone poczwary wily się zmuszone służyć światłu, obrusy śnieżne, kapy szyte perłami, okryte złotem, miała już katedra, a zakrystja była bogato zasposobiona. Składali się na nią wszyscy, świeccy i kapłani. Dzwony z blachy ukuto na nowo i głosy ich znown wołały do modlitwy, budząc u pospolitego gminu gdy się ozwały poważne grozę, poszanowanie i przestrach.

Pogańskich jeszcze na pół obyczajów ludzie, słysząc to powietrzne wołanie, szli posłuszni do kościoła, czując się jakby ciągnięni czarodziejską siłą. W głosie tym było zarazem błogosławieństwo i groźba.

W przededniu wielkiej uroczystości arcybiskup mszę odprawiając zapłakał łzami radości wielkiej; iż Bóg mu dał doczekać chwili tej a odchodząc od ołtarza usta jego mimowolnie wymówiły przypominane słowa Symeonowe.

— *Nunc dimitte animum meum.* (Teraz odpuść panie, duszę moją).

Gdy to mówił oczy jego padły na klęczącego z boku, w przyodziewku ubogim, z głową spuszczoną, z rękami złożonemi, królewicza Zbigniewa który się zarazem zdawał modlić i płakać. Przechodząc około niego stanął biskup, położył mu rękę na głowie, i szepnął.

— Nie trać nadziei, dziecko moje, chwila jest blizką.

Rzekłszy to odszedł. Zbigniew niedługo już potrwawszy na modlitwie, wstał i do izby powrócił. Z téj już mu teraz wychodzić nie miało być wolno, dopóki król, dwór jego, Bolko i Sieciech znajdowali się w Gnieźnie. Okna jej zakratowane wychodziły na boczne podwórze, widzieć z nich tylko było wrota zamkowe i drogę do dworca w części, tak że z zakrat swych mógł więzień policzyć przybywających. Na chwilę też nie oddalał się od okna.

Około południa już mnożyć się zaczęły orszaki, biskupie naprzód, gdyż Wrocławski, Kruszwicki, Poznański i Krakowski na uroczystość przybywali, rycerskie potem, wojewody Sieciecha, równający się królewskiemu, Skarbmierza, młodego Zelisława Beliny i wielu innych panów dostojnych.

Nad wieczór wreszcie poznał, albo się raczej domyślił Zbigniew dworu króla ojca swego, na-

przeciw którego dniehowieństwo wyszło z krzyżem i pieśnią, rycerstwo z okrzykami, i dzwony kościelne ozwały się witając go radośnie.

Zdala postrzegł postać przygarbioną na koniu i świetny orszak królowej, około której młodzież najpiękniejsza i najwykwintniej strojna zniemiecka się zwijała i Bolkową drużynę młodą, zbrojącą, rycersko wyglądającą, na której widok wstrząsł się cały zazdrością i gniewem.

A miał zaprawdę czego mu zazdrościć, bo nie piękniejszem być nie mogło nad ten świetny orszak młodego pana, w którego oczach płonęło wesole męztwo. Miał już naówczas Bolko, wzorem Bolesława W. dwunastu towarzyszków dobrych wiekiem, postawą, dzielnością, którzy składali nieodstępny dwór jego, towarzyszyli mu wszędzie. Mieczyk pański wiózł ulubiony-Pruszyńska, dawno już wyleczony, tarczę drugą, proporczyk trzeci; za nimi jechała służba, wszystko różna, młoda i ochocza.

Bolko nad nimi wszystkimi królował, jeśli nie urodą to blaskiem jakimś, który bił od niego, siłą, która w nim mieszkała.

Przed jego ognistem, niemal dziecięcym wejściem, nieraz starsi, sam Sieciech nawet, oczy spuszczała, bo zdawał się im w duszy czytać tym czystym wzrokiem niewinnego wieku i dobywać z jej głębin, ukryte w nich tajemnice.

Wojśław Ochmistrz królewicza, ciężki człek,

ledwie za tą lekką jazdą poskakującą nadażał, choć konia pod sobą miał dzielnego, a sam też sprawiał się na nim jak na rycerza przystało. Wiek i tnsza już go nieobrotnym czyniły, dlatego królewicza zawsze za zbyt ni pośpiech strofował, nie tylko w obrotach, ale w myślach i postanowieniach. Był bowiem w istocie Bolko pochopny pierwszym wrażeniom, rączy do zbytku i niepohamowany, a często się zapędzał za daleko, nie patrząc za siebie. I wierzył ludziom do zbytku łatwo, a słowo padało nań jak iskra na wysuszone pruchno, wnet je zmieniając w żarzewie.

Wojśław hamował go, lecz ognistój natury tój nie zmienić już nie mogło; życie ją coraz namiętniejszą czyniło, bo w nim spoczynku nie miał nigdy i nigdy do rozważi czasu.

Sieciech, gdy zdala nań patrzył brew mu się jeżyła; nie w smak mu była ta krew kipiąca, która i na niego wylać się mogła.

Z szyderskim uśmiechem, gdy Wojśław się nskarżał na popędliwość królewicza, Sieciech odpowiadał półgębkiem.

— Nie będzie winy nieczyjój, gdy się gdzie na oszczep Pomorea natknie i zginie! — Tak zwykle kończą ci zapamiętali.

Sieciechowi może, koniec taki byłby na rękę wypadł i niebardzo nastawał, aby go hamować. Jedno dziecię królewskie skazane było i zamknię-

te, drugie samo na zgubę się mogło nastreścić, naówczas Sieciech całe owo królestwo miał w dłoni. Król dogorywał i w oczach gasnął, królowa milowała pięknego wojewodę, nieprzyjaciół miał mnogich ale bezsilnych, wojsko liczne, wszystkie grody poobsadzone bratankami, stryjeczniemi, ciotecznemi, powinowatemi, ludźmi których on wyprowadził z niczego, dla których górą trzymał przynętę, jak ptakowi myśliwemu mięso, gdy ma z berła lecieć na upatrzone ptasze.

Gdy przy dźwięku dzwonów, graniu rogów i okrzykach król na zamek wciągnął, naprzód zsiadł przed kościołem, aby się w nim pomodlić. Wprędce potem pieszo go na zamek wiedziono: dwu komorników słabego pana podręczę podtrzymywało.

Ci co króla Władysława nie widzieli dawno, litowali mu się spojrzawszy nań; blady był jakby krwi w nim już nie stało, a mimo otaczającego wesela smutny i przybity. Tylko gdy na Sieciecha swego spojrzal, na tę otuchę i podporę, twarz mu się nieco rozpogadzała.

Sieciech dnia tego podobniejszym był sam do króla, niż do wodza stojącego pod rozkazami pańskiem; on tu rozrządzał, on władał, jemu w oczy patrzano, i skinienia słuchano. W pośród wszystkich górował i postawą i twarzą i ubiorem wspaniałym, bo nawet płaszcz na ramiona wdział, nie mogąc szkarlatu podbity nim, a zbroję miał

świecącą srebrnemi gwoździemi i łańcuch na szyi z wizerunkiem króla taki sam, jaki jeden tylko Bolko, syn królewski nosił.

W pięknej, męskiej jego twarzy widać było zarazem rycerza, silnej woli dostojnika i zalotnego człeka, który sobie sereą chciał jednać. Gdy nań nikt nie patrzył, przybierała ona wyraz przebiegłości i szyderstwa. Śmiechem rad pokrywał mądrość swą, z którą się nie zdradzał, chętniej udając nie wiele o co dbającego człowieka.

Na zamku gotowe już czekały stoły, służba z pochodniami dokoła. Dla króla i królowej osobne siedzenia szkarłatem obite na podwyższeniu stały. Bolko ze swemi u wielkiego stołu miał zasiadać, duchowieństwo starsze przy królu i królowej, jako im równe, miejsca zabrało: młodszy kler przodował u drugich stołów. Zwyczaj to był od Mieszka jeszcze zaprowadzony, że z książętami ich równano.

Przytomność króla i biskupów, nie bardzo się głośno dała biesiadującym weselić, skromnie i zeicha rozmawiano. Uczta też, z powodu obchodzonej wigilii, postną, wkrótce się zakończyła.

Wnet i znużeni drogą rozchodzić się poczęli każdy do izby sobie wyznaczonej, a Bolko z towarzyszymi w podworce i na zamczysko, dokąd piękna, spokojna noc wiosenna wyzywała.

Sieciech, który królowi służył razem z podkomorzemi i podczaszym, oko miał na wsze stro-

ny. Znał wszystkich, patrzył wszędzie bystro, jakby z twarzy myśli odgadywać chciał i czytać,

W chwili, gdy króla wiedziono na spoczynek, skinął nań arcybiskup, Sieciech z poszanowaniem zbliżył się do niego.

— Dajcie mi nieco na chwilę, odezwał się staruszek — potrzebuję mówić z wami.

— Dzisiaj? — spytał wojewoda.

— Tak jest, dziś jeszcze, jest tego wielka potrzeba.

Spojrzał nań Sieciech ciekawie, sklonił się i odprowadziwszy królestwo oboje, wrócił do arcybiskupa, który sam już z kapłanem w pustej izbie nań oczekiwał.

Gdy się wojewoda ukazał, skinął na towarzysza swego biskup aby się oddalił. Sieciech stał przed nim, — piękne starca oblicze ułogosławione było radością tej uroczystej życia godziny.

— Wojewodo — zawołał — od was zależy abym jutro szczęśliwym był jako nigdy.

— Odemnie? — zapytał Sieciech.

— Tak, bo wy władzę macie wielką nad sercem pana naszego, a potrzeba mi je skłonić do miłosierdzia.

Sieciech niespokojnie się poruszył, twarz zmarszczył, sklonił się.

— Król dla was, Ojcie przewielebny, uczyni i bezemnie, czego żądać będziecie.

— Bez was lub przeciw wam król albo nieuczyni nic, lub uczynionem gryźć się będzie, gdyż szlusznie w was szanuje podporę tronu swojego, rzekł starzec.

— Pierwszym sługą jestem — odparł Sieciech.

— Bądźcież doradcą — dobrym, mówił O. Marcin. — Kto miłosierdzie czyni, temu ono będzie uczynionem.

Popatrzał sędziwy biskup na Sieciecha, lecz wejrzawszy nań. pogoda jego twarzy ustąpiła, rozlał się po niej fraszek. Zawahał się ze stanowczym słowem.

Po chwili milczenia, począł powoli.

— Niesłusznem jest, że król jedno dziecko swoje drugiemu poświęca i srogo karze niewinnego, którego źli ludzie popełnili do błędu: Dla Zbigniewa potrzeba prosić miłosierdzia i przebaczenia.

Wojewoda brwi ściągając groźnie, cofnął się krokiem.

— Ojciec przewielebny — odezwał się — kapłanem jesteście, pasterzem naszym duchownym, żyjecie w Bogu a naszego złego świata mało znacie. Zbigniewa rozdrażniwszy wypuścić jest to zwierzęciu dzikiemu dać wolność. Będzie godził na ojca, na brata, na mnie, byle siłę pozyskał mścić się zechce, państwo zakłóci.

Być to nie może! — nie może!

— A ja wam powiadam, wojewodo, — rzekł

starzee spokojnie,—iż to się stać powinno. Niech król nasz bogobojny nie ma na sumieniu krzywdy dziecka własnego. Więzień przez długi czas był pod oczyma mojemu, patrzałem nań; pobożny jest, cichy, biedny, i będzie wdzięcznym i posłusznym. Nie tylko ja, ale wielu duchownych i świeckich prosić chcą o to króla, aby dziecku nie dał ginać i pomsty Bożej nie ściagał na głowę swą i królestwo całe. Niewinnego łąza waży wiele na szali sprawiedliwości.

— Lecz on winowajcą jest i wichrzycielem!— odparł Sieciech oburzony.

— Gdyby nawet nim był, młodość, niedoświadczenie i kara jaką poniósł starczyłyby już do obmycia go z winy — zawołał arcybiskup.

Na wojewodzie prośby te i dowodzenia, nie zdaly się żadnego czynić wrażenia.

— Ojcie przewielebny — rzekł Sieciech skłaniając głowę przed starcem — czyńcie jako chcecie, ja mojego słowa nie dorzucę, nie zgodzę się na to, aby gadzinę puszczać, gdy się ją zdusić może i ma w ręku, królestwo się rozpadnie, a nieprzyjaciele moi i króla, przystaną doń jak do chorągwi.

— Próżne to są obawy,—przerwał O. Marcin.— Mowicie o nim nie znając go. Pokorne chłopię jest.

— A na swobodzie zuchwałem się stanąć — dodał Sieciech.

— Pomocy więc swęj odmawiacie mi,—zapytał starszek łagodnie, wojewodo, panie miły, pomnijcie słowa Chrystusowe, które miłosierdzie, przebaczenie i litość nakazują, to prawo nasze.

Sieciech milczał długo smutny.

— Nietylko prosić za nim niemogę,—odezwał się,—ale mówić będę przeciw niemu. Wyznaję to otwarcie. Sprawą dnehownych jest rozgrzeszać, my miecz trzymamy, abyśmy karali.

Błąda twarz starszka zarumienila się, podniósł się nieco, drgnął i hamując się mówić począł.

— Mądrość wasza jest z tego świata, fałszywa, zgnębna i omylna. Przeto mówię wam, zawiadą was rachuby i gdzie zbawienia szukacie, znajdziecie npadek. Nie jest daném człowiekowi widzieć naprzód, a kto myśli że widzi przyszłość myli się, i kto sądzi że zapanuje losowi, ludzi się, a ten tylko kto słucha głosu prawdy i idzie za nim, dojdzie do celu.

Jesteście wojownikami i wodzem wielkim, macie w ręku wojska i skarby, władzę i siłę, nie myślcie przeto ażebyście wszechmocnymi byli. Bóg jeden wszechmocny. Gdy on rzecze w proch się obróci wszystko.

— Ojciec przewielebny—przerwał wojewoda—przebacze mi. Nie sprzeciwiałbym się woli waszćj, gdybym nie widział niebezpieczeństwa. Kró-

la uspokajać potrzeba a nie poruszać — chory jest, znękany.

— Najlepiej go uspokoi, gdy sumieniowi uczyni zadość — odparł arcybiskup.

Sieciech potrząsł głową.

— Pokoju mieć nie będziemy—rzekł,— zawre wszystko i zamąci się, Ojcze, zlitujcie się.

— Mylisz się, dziecko moje—przerwał O. Marcin—ukoi się wszystko gdy sprawiedliwości zadość się uczyni.

— Ojcze! nie czyńcie tego! — nie czyńcie! — odezwał się gorąco Sieciech, schylając się do ręki jego.

Arcybiskup zlekka rękę usunął.

— Uczynię co mi mój obowiązek kapłański nakazuje, co każe sumienie,—rzekł spokojnie, niech będzie co chce, a niech się stanie sprawiedliwość!

To mówiąc powstał starzec podrażniony mową, skinąwszy na stojącego w dali kapelana i niezwróciwszy się już ku Sieciechowi, który stał blady i guiewny, hamując się tylko poszanowaniem dla duchownego należnem — wyszedł z izby.

Wojewoda postawszy chwilę, zawrócił się, niepewien zrazu dokąd ma iść. Podeszedł ku sypialni króla, ale tam O. Lambert głośno pacierze odmawiał, czasu których wchodzić nie było można.

Gdy się to działo w wielkiej izbie gościnnéj, Bolko ze swą drużyną szedł w dziedzińce zamkowe, ciekaw wszystkiego co spotykał.

Śmiejąc się szli opatrując każdy kąt, zaglądając we drzwi wszystkie, mierzyli place na których wyścigi odbywać było można, liczyli ileby ludu mógł objąć gród obleżony. Wojna i wojenne sprawy były im ciągle na myśli.

Ktoś z towarzyszków opowiadał stare Gniczne dzieje i co między ludźmi o założeniu grodu chodziło. Postępowali tak rozpatrując się w starych domostwach, w przybudówkach nowych. Wieczornemu mrokowi przyświecająca luna zachodnia dość dobrze jeszcze rozpatrywać się dawała, a księżyc już z drugiej strony białymi promieniami rozbijał ciemności.

Idąc tak Bolko podniósł oczy i ujrzał przed sobą nagle z zakrat okna drewnianych wyglądającą twarz.

Raz tylko w życiu przemknęła mu się ona przed oczyma na pobojuwisku Kruszwickiem, spotkał się z nią na chwilkę, i zamienił spojrzenie, które było jakby wyzwaniem do wiekniatego boju. Utkwiły mu jednak w pamięci te złe oczy, Bolko miał je teraz znów przed sobą. Przeczucwał brata.

Zbigniew domyślił się go także, pobladł i drgnął, chciał się cofnąć, duma nie pozwoliła, pozostał w miejscu, aby nie okazać obawy.

Bolko wlepił w niego oczy błyszczące, patrzali tak długo oko w oko, wejrzeniem mówiąc do siebie; naostatek Zbigniew osłabł, zadrżał i spuścił powieki. Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia jasnego, gorącego, które nie tało się z niczym, wybuchalo myślą swą całą, ezuciem całym.

Ci co otaczali królewicza, zrozumieć nie mogli tego wpatrzenia się w postać jakąś bladą, nieznaną, która dla nich powszednią, niekzerną zdawała się istotą, niegodną pańskiego wzroku.

Spoglądali na Bolka pytając go co w niej znalazł iż go zatrzymała, to przypatrywali się więźniowi chcąc dojść co w nim było tak dziwnego, by godzien był ciekawości.

Mileząc stali za królewiczem, szepejąc między sobą i rozpytnjąc się, ktoby to mógł być? Nikt go nie znał.

Bolko prawie pewien był że spotkał brata, choć znaleźć go tu się nie spodziewał. Zapomniano o nim na dworze.

Sam nie wiedział jakie się w nim obudziło uczucie na widok téj istoty wynędzniałej, wyblądłej, z włosem najeżoném, zamkniętej za kratą—co, dla miłującego swobodę Bolka, sroższą się zdało kaźnią nad śmierć saną.

Budziła się w nim naprzemianny litość i wstręt. Radby go był widzieć wolnym, równym, zbrojnym, nie żeby go kochać może, ale by z nim

waleczyć; to znowu miłosierdzie czuł nad nie-
szczęśliwym, który życie męczeńskie wiódł w zani-
knięciu.

Oba tak nieustępując wpatrywali się w siebie,
Zbigniew nie cofnął się do izby; Bolko nie szedł
dalej. Mimowolnie wyrwało mu się z ust.

— Ktoś ty taki?

Milezenie trwało chwilę długą, ciężki oddech
tylko słyszeć było i ochryply głos odpowiedział.

— A ty?

— Nie znasz mnie?

— Nie.

— Króla syn jestem, rzekł Bolko.

Zbigniew rozśmiał się złośliwie, nie był pa-
nem siebie, krew i żółć uderzyły mu do głowy.

— Byłem i ja synem króla — zawołał, a wi-
dzicie że dziś niewolnikiem za kratą. Patrzaj-
cie, abyście i wy tak nie skończyli.

Bolko rozśmiał się głośno.

— Ja? — zawołał ruszając ramionami, niebój
się o mnie!

I dodał. — Widzieliśmy się już raz w życiu!

— Podobno — mruknął Zbigniew.

— I ty mi winieneś życie — mówił Bolko—
bom ci je mógł odebrać.

— Wolaleś, bym zginął w łykach! — odparł
Zbigniew.

— Nie wiedziałem co cię czeka, a krwią się

twą mazać nie chciałem,—rzekł królewicz postępując bliżej nieco ku oknu.—Żał mi ciebie.

Zbigniew widząc go zbliżającego się, cofnął się nieco za kratę. Walczył z sobą, twarz układał. Gniew, którym gorzał stłumił w sobie aby nie wybuchnął z niego i rzekł głosem eichym.

— Jeżeli załujecie mnie proście za mną!

Bolesław usłyszawszy to, stał zadumany, gdy Zbigniew rzuciwszy słowo jakby z przymusu, cofnął się od okna.

Królewicz podniósłszy oczy, nie widząc go, poszedł dalej, ale wesołość zastąpiło dumanie — towarzysze milczeli nie śmiejąc się odzywać. Kilkanaście kroków dopiero odsunawszy się, zawołał Bolko.

— Gdybym mógł prosiłbym za nim.

— Ohydna twarz, szepnął Janko Doliwa, z za kraty wydał mi się jak zwierz dziki. Stworzony by siedzieć za kratą.

— Straszny bo jest! — potwierdził drugi.

— Któż w więzieniu pięknym być może — zawołał Bolko wstrząsając się cały. — Grób to jest!

— Raczej śmierć! — krzyknął Pruszyńka.

Chociaż na zamku było wesoło, oni smutni się powlekli dalej, widok tej młodej twarzy zwiędłej za kratą. zatruli im ducha wesele.

— Gdybym był królem,—odezwał się Bolko,—a zawinił mi człowiek, dałbym mu swobodę

i miecz i poszedłbym walczyć z nim a ubić go, by nie więzić. Kaźń to straszna... Zbigniewa uwolnić potrzeba.

— Wichrzyć będzie — rzekł któryś z boku — zły słyszę jest.

— Będziemy mieć sposobność do dzieł rycerskich, — zawołał Bolko — i pokonamy go. Jest że co szlachetniejszego nad walkę otwartą i boje o lepszą?...

— Na tych wam i bez Zbigniewa zbywać nie będzie śmiejąc się dorzucił Janko. — Mamy Pomorze stanie go na długo, Czechów też, Ruś, a w ostatku Niemców cesarskich.

Weselsza rozmowa wszczęła się już o wojnach, Bolko z drużyną pociągnął na spoczynek do komnat, gdzie właśnie o cudownem oswobodzeniu napadniętego przez Pomorców Santoka, wieść radością przyniesiono.

III.

Późno z południa skończyła się zawczasu porządek, długa uroczystość kościelna. Otworem stała nowa świątynia, jeszcze pełna wonności, kadzideł i jakby owiana modłtawami i pieśnią, które się w niej rozlegały. Kilku ludzi stało we drzwiach spoglądając na lśniące ołtarze. Cisza teraz uroczysta panowała w katedrze.

Wesoły gwar dolatywał tu z zamku, gdzie uczta zastawiona była ze wspaniałością na jaką wiek ów mógł się zdobyć.

Nie była ona wykwinutą, dostatek wszystko zastępował. Nawet na twarzy chorego króla promieniowała radość z tej chwały Bożej odnowionej, pomnożonej, ugruntowanej tu na wieki.

W otoczeniu królowej śmieszki słyhać było i żarty, Bolko rozprawiał o łowach, drudzy jesz-

cze o Santoku. Od wczoraj najwięcej o nim mówiono.

Cud oswobodzenia zamku od napaści Pomorskiej przypisywano S. Wojciechowi, który nim dawał znak, iż to co uczyniono dla kościoła jego i zwłok, miłem mu było. Opowiadano o zjawionym nocą rycerzu, który Pomorzani już wdzierających się na zamek, odegnał prcz mieczem ognistym i męstwem natchnął załogę.

Był to więc dzień powszechnego wesela, a jednak twarz ku której oczy króla i królowej najczęściej się zwracały, Siecechowa twarz groźną była dnia tego i chmurną. Niepokój błyskał w źrenicach. Nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Król też trwożyć się tém poczynął.

Siecech nie zwykł był łatwo okazywać fraunku, nie stało się nic złego, coby jawném było, wojewoda milczący, chmurny, bezmówny musiał mieć jaką zgryzotę tajemną.

Napróżno król podnosił ku niemu oczy, wyzywające myśl lepszą, próżno królowa powoływała go ku sobie i poufałe mu coś szeptała, inni też otaczali poszanowaniem tém głębszem, że się doń trwoga mieszała, wojewoda pozostał jakim był, posępny wyraz twarzy wzmagał się jeszcze. Niekiedy z ukosa badający wzrok posyłał ku arcybiskupowi i odwracał go szybko.

O. Marcin promienił dnia tego, widać było jak

niewymównie się czuł szczęśliwym; nie słyszał i niewidział co się działo wkoło niego, był jak by w niebiesiech modlitwą duszy dziękczynną.

Uczta miała się ku końcowi. Sieciech parę razy nachylił się do neha królowi radząc mu spokojnynek. Władysław posłuszny nłabieñcowi już się miał ruszyć, gdy areybiskup podniósł się z siedzenia.

Wzrokiem powiódł po stołach, przy których zasiadali biesiadnicy, jakby ich powoływał ku sobie i ręce złożone do modlitwy podnosząc w górę, zawołał...

— Miłościwy panie, królu nasz!

Sieciech piorunującym rzucił nań wzrokiem, król usiadł zmuszając się do uśmiechu, błada twarz jego drgała obawą jakąś, oczy zwracały się ku Sieciechowi, i na areybiskupa naprzemiany.

— Miłościwy panie i ojcze nasz, powtórzył starzec, Bóg nam dał ten dzień szczęśliwy, wielki, a ty, panie uczyni nam go dniem podwójnie drogim, dniem pokoju i łaski!

Ja i ze mną, młodszy słudzy twoi, miłujący cię, przychodzą do kolan twoich z prośbą.

Na skinienie areybiskupa od stołów znaczną część biesiadników podniosła się tłumnie i garnąc się dokoła przed królem stanęła. Była to wprawdzie część tylko przytomnych, ale do niej przyłączyło się duchowieństwo całe, wielu

z najprzedniejszych ziemian, i wszystkie Sieciecha przeciwnicy.

Wojewoda, który stał blisko tej gromadki, tak iż zdawać się mogło że do niej należał, cofnął się nagle, szum uczyniwszy aby na siebie obrócić uwagę i okazać że do proszących się nie łączył.

— Wszystkie jak nas tu widzisz miłościwy panie, zawołał głos podnosząc arcybiskup — błagamy cię, prosimy, zaklinamy, uczyni miłosierdzia, zwolnij sercu własnemu, domierz sprawiedliwość i łaskę. Więźniem jest syn twój, dziecko twoje, krew twa, przypuść go do serca i łaski, przebacz mu winę, uwolnij z więzów. Daj mu swobodę i droższą nad nią miłość twoją!

Król, na którego próżno Sieciech groźnie spoglądał, z radośnym twarzy wyrazem obrócił się ku arcybiskupowi, ale drżący długo przemówić nie mógł.

Oslabły, skłonny był do płaczu, lzy strumieniem z oczów mu się polaly.

— Przebacz mu! przebacz! — wolano dokoła — kilkun przyklęknęło przed królem...

Królowa blada stała, spoglądając gniewnie na Sieciecha, który rozdrażnienia nie kryjąc czekał tylko, aż się król ku niemu obróci, był bowiem pewnym, iż bez jego rady nie się stać nie może...

Im dłużej czekał na to, tem burzył się więcej.

Ci co z nim trzymali poczęli zwolna ustawiać się koło niego.

— Czyż ojca prosić o to potrzeba? — odezwał się wreszcie król, azalibym ja nie przebaczył gdyby bezpieczeństwo państwa dopuszczało? —

Mówcie wy, sądzie! — Nie zaburzyć to i nie zakłóci nam spokoju?

To mówiąc wzrok lekliwy podniósł ku Sieciechowi, który z głową spuszczoną stał niemy, uachmurzony, gniewny, ledwie mogąc się wstrzymać od wybuchnięcia.

— Miłościwy panie, rzekł wreszcie wyzwany wojewoda, miarkując głos, nie czynicie tego! — nie czynicie!

Zwierzęz dzikie wypuście na siebie i na prawe dziecię swoje.

Król, czując że będzie popartym, śmieiej nieco zwrócił się ku Sieciechowi, stając już sam w obronie Zbigniewa.

— Ten też prawym jest synem moim, pierworodnym! — zawołał głosem drżącym.

Z oczu wojewody skry się posypały, królowa rzuciła swój stół i siedzenie, podeszła bliżej poruszona, niespokojna, król wahał się, przełkły był.

— Miłościwy panie — począł arcybiskup. W imię Chrystusa ukrzyżowanego, w imię Wojciecha świętego patrona królestwa tego, w imię świętych apostołów, których dziś uroczystość ob-

chodzimy, zaklinam cię i błagam, usłysz głosy nasze, uczyn tak miłosierdzie jako pragniesz aby ci w dniu sądu strasznego uczynionem było.

W niepewności wielkiej król stał strwożony. ręce które trzymał oparte na stole trzęsły się ze wzruszenia, łzy z oczów mu płynęły, gdy przez gromadę otaczającą króla przedarł się Bolko.

Z przestрахem jakimś spojrzał nań ojciec. lękając się może wymówki, gdy szlachetne chłopię rzuciło mu się do nóg i ściskając kolana, zawołało.

— Ojeze kochany, królu miłościwy, i ja za bratem proszę a kłaniam się do stóp twoich, przebacze mu! — przebacze!

W tém Sieciech nie mogąc się powstrzymać, krzyknął głośno.

— Prosisz za tym który ci odbierze królestwa połowę, spokój zamąci, a jutro cię wyzwie na rękę.

I rozśmiał się dziko.

— Królestwa mu nie żałuję, — odparł młody królewicz — jest ich dosyć do zdobywania po świecie, wyzwania się jego nie lękam! — Będzieli śmiał burzyć się niewdzięczny, pójdziemy nań, złamiemy go, ukarzymy...

Sieciech niemal pogardliwie spojrzał na chłopaka, który po raz pierwszy wystąpił tak śmiało i oczyma rzucił wymówkę Wojśławowi, iż dopuścił a dozwolił na to zuchwaństwo.

— Czyn, miłościwy panie, jak wola twoja,— zawolał Sieciech,—ale racz pamiętać, że ja tej rady nie dawałem, żem był przeciwny i będę.

Umywam ręce. Stanie się złe, zaburzy się królestwo, zamącą ci pokój dni twoich — nie mnie winujecie.

Cofnął się w tył, król blady wahał się znówu co miał począć. Czytał w oczach królowej gniew i oburzenie, w oczach Sieciecha obrazę i złość; były to dwie potęgi, które nim rządziły. Tylko w swym ukochanym Bolku, w starym areybiskupie, w duchowieństwie znajdował poparcie. Co miał czynić, nie wiedział sam... Pot oblewał mu skronie wychudłe, ręce załamał, wzdychał ciężko, oczyma, jakby wzywając ratunku, rzuceł na wszystkie strony. Wolalby był nie mieć władzy w rękach, aby nie być zmuszonym do wydania wyroku.

W tém areybiskup skinął ku braci swęj przytomnej, wiedząc jak wielka była duchowieństwa przewaga; wystąpił Lambert biskup krakowski i przemówił do króla.

— Panie miłościwy, i ja łączę głos mój z głosem brata mojego w Chrystusie, Marcina — czyn miłosierdzie aby ci ono uczynionem było. Przebac, uwolnij!

Za nim wystąpił poważnie Paulin Ciolek Kruszwicki pasterz, i odezwał się głosem przejętym...

— Miłościwy panie, sercu twemu ojcowskiemu folguj, a prośb naszych wysłuchaj, przebac mu!

Stał już za nim w gotowości Dyonizy Poznański biskup, mąż w sile wieku, i zawołał głosem pełnym...

— Nie grozą ani postrachem stoją królestwa, ale łaską Bożą i cnotą ludzką. Cnotą jest miłosierdzie, łaska zyskuje się uczynkiem dobrym. Przebac mu panie, choćby wrogiem był, zwyciężysz go miłością, przebac!

Naostatek mniej pewnym krokiem, na skinienie arcybiskupa wysunął się i Filip Doliwa biskup plocki, głosem cichym, powtarzając za drugimi nieśmiało.

— Przebac mu panie!

Niektórzy się do nóg schylili, król płakał i lzy ocierał.

Sicciechowi druhowie i popiecznicy, których on napróżno oczyma popychał, aby występowali z nim razem, nie mieli odwagi iść wbrew duchowieństwu całemu, wstydzili się namawiać do okrucieństwa, gdy drudzy do łaski sklaniali. Stali milczący tem się ograniczając, że nie szli z innymi prosić króla za Zbigniewem. Na obliczu wojewody krakowskiego, gniew palił krwią po nim rozlaną. Pierwszy to raz publicznie złamany być miał wpływ jego i potęga. Nie szło mu już tyle o los Zbigniewa, co o własne upokorzenie.

Król był mu dotąd zawsze posłusznym, teraz szedł wbrew jego rady, napomnienia i przestrogi. Jawném było już że Władysław sercu ojcowskiemu ulegnie.

Na czele duchownych idąc, przystąpił bliżej sędziwy arcybiskup i podnosząc ręce, zawołał.

— Rzeknij słowo panie! — Wysłuchaj nas!

Pomileczawszy trochę, król zdobył się na mężtwo.

— Niech się więc stanie, jako żądacie! — niech się stanie! — rzekł głosem poruszonym.

I padł osłabły na krzesło.

Bolko, który stał przed ojcem, gorząc z niecierpliwości, przybiegł doń, ucałował go w kolana i jak piorun z izby się wyrwał.

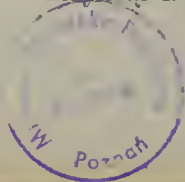
Łacno się domyśleć było dokąd i poco. Skinał na swoich po drodze.

— Do więzienia! — ze mną!!

Zrozumiał go arcybiskup, który pobłogosławił ręką zdalą, już uchodzącego, pozostali wszyscy na miejscach, Siecech tylko, nieczwając na to że go ludzie oczyma ścigali, natychmiast precz wyszedł na swoich skinąwszy, i ci się z nim oddalili.

Bolko popędził wprost do więzienia brata. W pierwszej komórce straż uapita usypiała, w drugiej cicho było. Przez szpary drzwi światło przebłyskiwało.

— Pruszyńka! — krzyknął Bolko, idź do Sta-



rosty, leć do do skarba, biegnij gdzie i do kogo chcesz, a przyniesz mi odzież taką, w którąby go można odziać przystojnie.

To mówiąc drzwi otworzył do izby. Zbigniew siedział na ławie, z twarzą palającą. Zobaczywszy brata wchodzącego, powstał.

— Wohym jesteś — odezwał się Bolko, wolnym i przebaczonym. Wstawiał się za tobą areybiskup, duchowni, panów wielu i ja. Odzienie ci przyniosą, pójdziesz do ojca ze mną.

To mówiąc z młodzieńczą gorącością rzucił mu się na szyję.

— Bądź mi bratem! — wykrzyknął wesoło — a chcesz mi być wrogiem, znajdziesz zapasznika nie do pogardzenia.

Zbigniew w tej chwili pierwszego wzruszenia szczerze może Bolka uściskał, szczerze zaklął się, iż mu do zgonu wdzięcznym pozostanie.

— Zrzucaj tę odzież, żywo! — wołał Bolko pójdziesz ze mną.

Zbigniew się zawahał nieco, po pierwszym wybuchu uczucie już ustępowało rachubie.

— Nie, bracie, — rzekł — nie potrzebuję się przedziwiać, pójde takim jakim mnie tu znalazła łaska ojca, odartym i opuszczonym, aby ludzie wiedzieli com cierpiał.

Nie rad był Bolko temu, wołałby był ażeby sobą nie czynił ojcu wymówki, nie stawał jako

oskarżyciel; lecz Zbigniew trwał w swoim postanowieniu.

— Prowadź mnie do ojca takim, jakim mnie tu znalazłeś — prowadź, idę — powtarzał.

Wahając się jeszcze Bolko go chciał nprosić o przebranie. gdy Zbigniew we drzwi uderzył i wyszedł za rękę go chwyciwszy, wołając. — Chodźmy.

Wzruszenie już minęło, Zbigniew myślał jak obudzić litość i pozyskać serca.

Straż zdziwiona, nie śmiejąc strzymywać więźnia, powiodła za nim oczyma.

Wyszli razem.

W wielkiej izbie, oprócz Siciecha, czekali wszyscy; król najmniejszy szmer słysząc, oczyma bojaźliwemi rzucił ku drzwiom, gdy nareszcie postać ta, tak różna od uroczyście i bogato postrojonych gości świątecznych, w progu się ukazała.

Zbigniew dobrze rachował. Wytarta suknia jego siermiężna podpasana prostym rzemieniem, chodaki na nogach podarte, włos na głowie rozczochrany, błada twarz wychudła, niezgrabne ruchy zasiedzialego w zamknięciu człowieka — czyniły królewskiego syna jeszcze politowania godniejszym. W sukni książęcej byłby może odrażającym, w więziennęj odzieży tej pokutnika budził poszanowanie.

Spostrzegłszy króla, Zbigniew, który szedł

slaniając się krokiem niepewnym, upadł na ziemię przed nim i począł nogi jego całować.

Władysław wyciągnął doń ręce i pochwyciłwszy go, łkając do piersi przycisnął.

Królowa nawet, która dotąd złośliwe żarty stroiła, przybrała twarz surową, ale pełną wstrętu...

Władysław długo przemówić nie mógł.

— Upadnij do nóg ojcu naszemu duchownemu,—zawołał,—i tym wszystkim co błagali za tobą im dziękuj, bo im winieciś wolność twoją. Przebaczyłem ci. Pomnij iż łaską jesteś dzwignięty i przywrócony do praw twoich, kajak się, bądź synem posłusznym, bądź bratu druhem wiernym.

Zbigniew stał i słuchał z głową spuszczoną jak winowajca.

— Ojciec miłościwy,—wyjąknął w końcu głosem zlagodzonym ale niemylm.—Nieprzyjaciele twoi użyli mnie za narzędzie. Będę ci synem wiernym, będę bratu druhem, będę królestwu twojemu obroną i służebnikiem. Mówiąc całował ręce arcybiskupa, który też dodał głosem drżącym.

— Pomnij, pomnij, Kneziu Zbigniewie, iż wzięliśmy cię na sumienie nasze...

Otaczający poczęli wołać niektórzy — Boże, zmiłuj się nad nami! — Inni.—Długi żywot królowi!.

— Królowi żywot i panowanie!

Rozległ się okrzykami zamek i podwórze.

Oczy wszystkich zwracały się teraz ciekawie

ku oswobodzonemu więźniowi; litość miał nim się okazać, widok nędzy jego poruszył, jednak nie przystały doń serea.

Strasznym bo był ów wychowanek saskiego klasztoru, nagle przerosły na rycerza i powrócony do praw królewskiego dziecięcia. Nie nie pociągalo ku niemu; wzrok dziki, uśmiech fałszywy, ruchy niezręczne, postać niezgrabna odradzała; siła tylko, którą zdawały się zwiastować rozrosłe barki, kazała się po nim spodziewać dzielnego rycerza.

Ze wstrętem patrząc na biedną odzież syna, król natychmiast przykazał Ochmistrzowi dworu, aby mu dostarczono wszystko co dziecku pańskiemu potrzebnem być mogło, a że pora spóźnioną była, poczęli wszyscy rozchodzić się na spoczynek.

Król skinął na komorników swych, idąc prawie ze strachem, bo pewien był że w komnacie swój znajdzie Sieciecha ze srogimi wymówkami. Wojewoda krakowski tak był gniewnym iż się nawet nie pokazał dnia tego królowi. Zapytał o niego bojaźliwie Władysław, powiedziano mu, że zawczasu odszedł do dworca swojego.

Osobne izby i budowle naznaczone były na zamku dla wielkiego wojewody, jak zwano Sieciecha, a raezć dla drugiego króla. Liczny jego dwór zajmował całe domostwo przypierające do królewskiego, a przepychem nie ustępował, może

przechodził pański. Więcej tu przybywało ludzi z prośbami, podarkami, pokłonami, niż do Władysława, który sam o niczem nie stanowiąc, wszystkich do Siececha odsyłał. Miał dlań słabość i obawiał się go razem, czując że bez tej silnej dloni królestwa nie utrzyma.

Wojewoda wpadł na dworzec swój gniewny i piorunujący, ludzi poroztrącał i długo chodził zamyślony po izbach pustych. Wnet co było drułów jego, popleczników, ujętych przezeń ziemian, zaczęło się ściągać do wodza swego. Wszyscy oni wtajemniczeni byli w sprawy wojewody i na powodzeniu jego przyszłość swą budowali. Między innemi wsunął się, powołany ochmistrz Bolka, który także pod rozkazami Siececha zostawał, choć nie całkiem mu był po myśli.

Spostrzegłszy jego, Strzyża zausznika swego, Barwienia i Smołę Starostów, Siecech krzyknął wybuchając.

— Cóż rzeczenie na to? Nie dość było jednego zapalczywego młokosa, dwu teraz będziemy mieli, obu wrogów i nieposłusznych! Król zbałiał, każdemu kto chce wodzić się daje!

— Uspokóje się, uspokóje się, — przebąknął Wójcik zwolna, ze zwykłą sobie ociężałością — nie ani tak wielkiego, ni tak strasznego się nie stało.

— Sądziś że ty, żem się ja uląkł tego? —

zawołał Sicciech ze śmiechem szyderskim. — Nie, nie boję się ale gniewam.

Wojśław jakby nie słyszał, dodał obojętnie.

— Król się o was w sypialni dopytywał pilno, rad był widzieć.

— Niech się obejdzie bezemnie — rzekł dumnie Sicciech, — jak się obszedł bez rady mojej.

— Miłościwy panie. — szepnął Strzyż, podchodząc doń bliżej, — azali tego nie widzicie iż ich dwu sami się rychlej pożrą niż tobie zaszkodzą? Na twoje koło woda.

Ramionami ruszył obojętnie Sicciech.

— Nie lękam się ich obu — rzekł, ale król nieposłuszny gniewa mnie. Gdyby nie ja, w co by już się dotąd obróciło królestwo jego? — albowy je koronowany król czeski zagarnął, albo Pomorcy złupili, a stary tułalby się gdzieś na Cesarstwie lasce. Mnie winien wszystko, a słuchać nie chce.

— Arcybiskup winien wszystkiemu, — dodał Smola, — miłkie serce ma.

— A twardy upór, — rzekł wojewoda — pytał mnie wczora, oparłem się, przeczyłem, prosiłem, nie dał się złamać i na swoim postawił, ażeby mi pokazać, że Sicciech tu nie nie znaczy, a Sicciech im pokaże, iż czem był tén być nie przestał.

Pięścią uderzył w stół. Wszyscy stali milezący, Sicciech się rzucił na ławę.

— Odroczy się przez to co się ma stać, ale nie mnie — rzekł ponuro.

Królestwo to nie ostoi się bezemnie.

— Co nam Zbigniew! klecha ten! — wtrącił mały, opasły Barwień gładząc bródkę rudą. — Co Zbigniew? — do parobka niż do królewskiego dziecka podobniejszy, a z oczów mu patrzy jak dzikiemu zbikowi.

Nie Sieciech nie odpowiadał, burzył się w sobie. W tém młody chłopak ze dworu królowej, przyszedł mu coś szepcząc do ucha. Odprawił go ruchem ręki, nie nic mówiąc, gniewny jeszcze na wszystko co go otaczało, lecz po krótkim namyśle wstał i wyszedł, zostawując swych przyjaciół bez opowiedzenia się im dokąd i na jak długo... Ci pozostali rozprawiając nad wypadkiem niespodzianym dnia dzisiejszego. Dworzannin królowej prowadził wojewodę bocznemi drzwiami do mieszkania Judyty.

Cesarska siostra właśnie poczęła była zdejmować z siebie klejnoty, w które się na uroczystość przystroiła, w sukni rozpiętej chodziła po komnacie gdy Sieciech się zjawił w progu. Po twarzy jego poznała gniew, z którego nie ochłonął jeszcze, ona też niemniej była oburzoną i rozdrażnioną.

— Być że to może, wojewodo, zawołala stając naprzeciw wchodzącego, ażebyście wy nie mieli siły zapobiedz temu, dopuścić to królewskie

szaleństwo? (W głosie jej przebijała się namiętność gwałtowna). Dopuściliście dla mnie srom, dla wszystkich niebezpieczeństwo! Ten niekiedy bękart będzie mnie śmiać nazywać matką? Ten parobek... ten niewolnik...

Słów brakło królowej, targala rękawy swój sukni.

— Nie mogliście go kazać umorzyć w więzieniu, mając go w swych rękach? — czekaliście aż na wolność go puszczą!! Dobrze, pięknie, wybornie się stało!!

— Któż się mógł tego spodziewać? — odparł Sieciech.

— Nie wiedzieliścież, wołała Niemka brwi marszcząc, — że nieprzyjaciół póki w nim teln staje zawsze niebezpieczny. Mogli mu oczy wyjąć ludzie, niktby nie rzekł nic, pozorby się znalazł. Wy! wy nie zdaliście się do rządzenia, wy, jak król słabi jesteście!!

Wojewoda patrzył na nią cierpliwie wymówek słuchając, czynił je pono i sam sobie.

— Miłościwa pani, — odparł gdy gniew jej głos zatamował, — zasłużyłem na te wyrzuty!. Bez tego mam dosyć wrogów, dość na mnie rzucają czerwonych zaskarżeń i zemsty.

Śmiech królowej zły i szyderski przerwał mu mowę.

— Dbacie o ludzkie języki! niech szczekają

kiedy chcą,—zawołała.—Było je tylko posmarować złotem a przestali by lajać i poczęli głosić chwałę twoją. Teraz szydzić z was będą, boście słabi, a król nawet was nie słucha!

Ruszyła się żywo, rzucając na stół z brzękiem ciężki łańcuch złoty, który z szyi zerwała.

— Zaprawdę—dodała, wątpię jeż o waszym rozumie. Dopuścić do tego!! to do was niepodobne! I cóż myślicie dalej? — co?

Sieciech się zbliżył i szeptać zaczął.

— Stało się. Teraz, ich dwu trzeba spuścić na siebie. Bolko gorący jest, zewrą się; był jedynakiem, teraz i pierworodnym być przestał, młodszyu jest, za nim iść musi. Skłóca się, zajądzą się królewicze.

Potrząsając głową królowa niedowierzająco patrzała, usta się jej krzywiły dumą jakąś i wzgardą.

— Tak, a nimi się zewrą z sobą, wprzód na was, na mnie, na króla sobie ręce podadzą, pójdą przeciwko nam. Was obalą...

Sieciech się uśmiechnął.

— Do tego nie dopuścimy, rzekł. Wojsko wszystkie ja mam w ręku. Grody obsadzone moimi, oni, ani garstki nie mają własnej. Starszyzna moja skinienia mego słuchać będzie.

Judyta poruszyła ramionami.

— I wyście już zesłabli, rzekła, puszczacie zwierza aby polować na niego, gdyście w klatce

mieli. To nierozum! — Myślicie że pójdzie na drugiego nie na was!

Zaczęła się przechadzać po izbie królowa, Sieciech stał i czekał aż się uspokoi.

— Żle się stało,—rzekł, lecz starego biskupa nikt zawczasu nie zbadał, wystąpił nagle, nie pora było hamować. Jeden taki nieokrzesany klecha, choć go odzieją za książęcia, nie nam nie uczyni. Nie lękam się go, a pozbyć potrafię. W Kruszwickiej bitwie ludzie go widzieli, rycerzem nie jest. Klerykiem lat osiem był i na całe życie nim zostanie, męstwa nie ma, rozumu niewiele, cała siła w języku. Puści się na swawolę teraz gdy swobodę poczuje... i zginie.

— Wszystko wam teraz dobre!—szydersko dodała Judyta.

Drzwi uchylono, pachole króla domagało się Sieciecha, król po modlitwach żądał koniecznie wojewody, nie mógł usnąć nie widząc się z nim, zbieżano cały zamek szukając; sługa pański dopominał się gwałtownie, by Sieciech szedł z nim do króla.

— Nie pójde dziś do króla! — zawołał rozkazująco wojewoda.—Powiedzcie iż mnie niema na zamku, żem odjechał. Mówcie co chcecie, nie pójde. Niech się frasuje król i niepokoi,—dodał, oparł się radzie mojej, niechże swych lepszych niż ja doradców się trzyma.

Królowa, którój oczy zaświeciły, potakiwała mu, bijąc w ręce.

— Niech pokutuje stary — zawołała, — niech się gryzie. — I pacholęcin na drzwi wskazała.

Nastąpiła cicha uarada poufna, tak zgodna jak był gniew co ją poprzedził gwałtowny. Na twarzy królowej zjawił się wkrótce uśmiech, czoło się wyjaśniło, słuchając opowiadania Sieciecha. Podała mu rękę na przejednanie, odprowadziła do drzwi i w progu jeszcze żegnała szeptaui długiem.

Wojewoda uwolnił się wreszcie, parę razy przywoływany do drzwi, odprawiany i powracający. Judyta zasłonę drzwi podtrzymując uad sobą, patrzyła za odchodzącym, aż zniknął jej z oczów. Sieciech potrzebował być sam z sobą, aby myśli zebrać i nkoić ducha.

Noc majowa cicha była i spokojna, zamek się cały do snu układał, gdzieiegdzie tylko z izb oświetlonych gwary spóźnione słyszeć się dawały. Na wałach i u bram strażę chodziły ospale.

W drugim końcu podwórca, gdzie stało wojsko królewskie i czeladzie, gęśle brzęczały i półgłośnie śpiwły. Na mieście zdała psy poszczekiwały i pierwsze kury piałły ranuą pobudkę.

Wojewoda mijając okna, w których świeciło, podniósł głowę.

Zdało mu się że widzi w nich cienie Bolka i Zbigniewa, z rękami zarzuconemi na raniona,

jakby naradzali się z sobą, przechadzających się po izbie.

Stał i patrzył długo. Człł w nich wrogów swych przyszłych, a potrzebował uczynić nieprzyjaciół nie drubów, jakimi się być zdawali. Władza którą dzierżał, do téj pory pocieszała go i ośmielala, nie mógł jćj postradać w jednćj godzinie.

— Wam li to ma się zamarzyć porywać się na mnie! — mówił w duchu. — Wam! Niedolężnemu temu królowi bez korony, dwu miłokosom i kilku starym klechom?

Gdybym skinał tylko, jutro! obalę wszystko!

Myśl wzbila się wysoko i gniew ustawać poczynał.

— Nie jestem że ja tu panem? — a oni na moję łasce? — do czasu!

Chodził tak długo, podpatrując co się na zamku działo, zbierając myśli, osnuwając na przyszłość plany. Gdy powrócił do izb swych zmęczony, już w nich nikogo, oprócz służby rozespanej nie było. Rzucił się na posłanie, pewien że jutro nagrodzi sówicie za doznane upokorzenie.

IV.

Nie było w słowiańskich krajach ziemi, co by uporniej stała przy dawnym swoim pogańskim obyczajowi nad Pomorze i plemiona, co je zaludniały. Jedno z nich noszące imię Wilków, nie nadaremnie je wzięło, jak wiley bowiem czatowali na pastwę, jak oni drapieżni byli i łupu cheiwi, okrutni, przebiegli, niepokonani, choć często klęski ponosili. Po każdej bitwie przegranej, cheiwi zemsty, gotowali się do odwetu. Pomiędzy resztami pogan pozostałych nad granicami, mieli potajemnych sprzymierzeńców, nie tajno im było co się u Polan działo, gdzie się obracały wojska, kiedy na nieopatrznych wpaść było można znieścacka; korzystali często ze święcenia kościołów, z uroczystości, z najmniejszego odpoczynku i ubezpieczenia, aby się rznieć na rozbrojonych.

Gotowi też byli ze wszystkiemi się wiązać, służyć każdemu, kto ich wyzywał do pomocy, podać rękę chrześcianinowi, nawet każde zawięchzenie wyzyskać, ale niezależności swęj nie poświęcali nikomu. Jednego dnia Niemcom, drugiego Polanom biegli w pomoc dla łupieży.

W bogatych miastach ich nadmorskich handel, skupiał wielkie zasoby, wojna przynosiła łupy, zamożność dawała zuchwalstwo; naród był bitny, ochoczy do wojny i grabieży, zbrojny dobrze, a im dłużej niepodległości swęj zdolal obronić, tēm pewniej spodziewal się ją utrzymać.

Napróżno starano się go nawrócić, jedni po drugich szli doń apostołowie, niosąc wiarę chrześciańską, a kończyli wszysej posłannictwo swe męczeństwem, urągowiskiem i wygnaniem. Ubodzy księża, opowiadający Boga nbogich, nie znajdowali posłuchu u pomorców, rabusiów, handlarzy, którzy bogactwa nad wszystko cenili. Pokłonić się tylko mogli blaskiem okrytęj potędze...

Wiara też pogańska ostatni tu znalazłszy przytułek, rozkwitała sil ostatkiem; stały świątynie stare na nowo przybrane, rozlegały się w nich pieśni odwieczne, wędrowali pielgrzymi z ziem nawróconych, pokrywom przynosząc ofiary, a niosąc ztąd nowego ducha.

To gniazdo bałwochwalstwa i rozbojów zniszczyć potrzeba było i nieustannego wroga pohamować.

Władysław Herman walczył ciągle z tymi niewygodnymi sąsiadami, niedającymi spokoju, Sicciech chadzał na nich zwycięzko, wyprawiano oddziały rycerskie, które wpadały w głąb ich puszczy, plądrowały osady i miasta, ale podbić nie mogły. Poddawali się pozornie, gdy ich złamano, zdradzali wprędce, trzymali po grodach i miastach, najmniejszą zręczność wyzyskać umiając na korzyść swoją.

Od ujścia Wisły do Odry i aż do Łaby, zalegała wybrzeża ta dziec pogańska, niespokojące ciągle ziemie sąsiednie.

Dość było wieści, że król i starszyzna gromadzą się do Gniezna na wielkie świętki, aby już pomocy na zameczek graniczny, przez Polaków osadzony, Santok godzili. Rzucili się nań i tylko cudem a popłochem nocnym wyrugowani zeń zostali.

Napaść tę zuchwałą pomścić zaraz było potrzeba, nie mogła ujść bezkarnie.

Jeszcze w Gnieźnie, gdy Sicciech dał się wreszcie przebłagać królowi i znowu opiekę swą nad nim rozciągać zaczął, urządzono wyprawę na Pomorzan. Bolesław jak tylko zasłyszał o tém, gorąco się do niej gotować zaczął.

Zbigniew byłby się może złożył tém, iż dwornani czeladzi nie zebrał jeszcze, nie był gotowym, ale obok Bolka tak pochopnego do boju, wstyd mu było gnuśnym się okazać. Nowy królewicz,

którego na równi z młodszym postawiono, łatwo mógł zgromadzić około siebie znaczną liczbę drużyny. Garnęli się ludzie do nowego pana. Naza-jutrz zaraz po owym wieczorze, gdy z więzienia wyszedł na dworzec, zjawił się do niego stary sługa Marko Sobiejucha.

— Miłościwy królewiczu — odezwał się, śmiejąc i pomrukiwając, a ręką sunąc ku kolanom — miłościwy królewiczu, bodejbyś żył sto lat! Nie ma się z tém co tać, mogę to wyznać, że jeżeli komu, to słudze swemu winniście swobodę!!

Tu w piersi mocno się pięścią grzmotnął.

— Tak jest, tak jest — niech się miłość wasza ani śmieje ani dziwi temu — dodał Marko... — Ja to chodziłem tak około najprzewielebniejszego arcybiskupa, a kładłem mu to przez różne osoby do uszów, aż nareszcie wziął do serca. Niech to zostanie tajemnicą, chwalić się nie chcę, lecz w istocie winniście swobodę słudze swemu.

Zdumiał się Zbigniew i zadąsał, ale bezwsty-dny człek kłął się i przysięgał, że mówił prawdę, a dochodzić kłamstwa było trudno.

Mówili drudzy że jako żyw, nigdy do ojca Marcina się nie zbliżał i słowa doń przemówić nie mógł.

— Teraz spodziewam się — dokończył Sobiejucha — że gdy wasza miłość odzyskaliście wszystko, o człowieku który za was życie dawał nie zapomnicie. Com wylał krwi pod Kruszwicą!

a tu — życie ważyłem. Gdyby nie cud a łaska patrona mojego, jużby mnie dawno krucy za-
dziubali.

Czyby się czuł do wdzięczności Zbigniew, rzecz wątpliwa, ale gnuśnemu nieco i przebiegłemu panu, który się rad wyręczał drugimi, dogadzał Marko i służyć mu umiał.

Nikt lepiej nad niego nie dostał wszelkiego języka, nie podsłuchał zręczniej, nie wcisnął się śmielej w kąta każdy i z bogatszym łupem nie przychodził wieczorem, umiejac go kłamstwy przypisać. Nikt też lepiej i bezwstydniej pochlebiać nie potrafił.

W pierwszych dniach zaraz, gdy się poczęły rycerskie zapasy, gonitwy, bójki w których Bolko celował, a na które Zbigniew tylko zdala patrzeć musiał, bo do nich zręczności nie miał żadnej, zrodziła się sroga zazdrość w ekliptyku.

Brał przed nim wszędzie Bolko prym, ubiegał go, a choć o lat kilka młodszy, szedł przodem, a ludzi mir jednał; chwalono go, wynoszono, kochano.

Zbigniew się nastawiał, szydzić próbował, iść z nim o lepszą nie zdołał. Dumny był, obraźliwy, mowę często złośliwą miał i nieopatrzną, ludzie od niego stronili. Na konin, z łukiem, z oszczepem, z mieczem próżno próbował coś poczynąć, na wstyd i śmiech tylko się narażał.

Siły miał dosyć, użyć jej nie umiał, ani ochotę

okazał. Niecierpliwił się wnet i rzucił o ziemię co trzymał, klnąc a lając.

Gdy jechali razem, Bolko wyglądał królewsko, tamten na przystrojonego parobka, choć się obwieszał łańcuchami i świecidlami wszelkimi, w których się kochał bardzo. Dwór też jego co miał świetnie wyglądać, wydawał się cudacko.

Niepowodzenie to jątrzyło Zbigniewa; powoli poczał się coraz głośnień dopominać o swe pierworodztwo i gdzie tylko mógł zasiadać pierwsze miejsce.

Dwór jego nie ustępował kroku Bolkowój družynie, ztąd się rodziły właśnie i spory nieustające.

Bolko mniej dbał o miejsce i śmiał się. Dwunastu towarzyszków jego patrząc na współzawodnika swojego pana niezgrabnego, nie sztykownego, przeczywali go Klechą, śmieli się po cichu z niezręczności jego, z dumy, a czasem drwiny przez usłizniętych usta dochodziły, do chętnie przedstawiającego na wszystko ucho Zbigniewa.

Miedzy tymi dwoma obozami młodych synów królewskich, naprzód się objawilo współzawodnictwo, zrodziła zawiść i nienawiść. Dwór Zbigniewa na przedce zbierany, złożył się z niezbyt dorodnej młodzieży, ściąganej ze wszystkich kątów, która odzierała tylko jaskrawą się odznaczała. Marko Sobiejucha zajął tu miejsce przedniejsze, niby ochmistrza czy dowódcy. Gdyby największe

było nawet usposobienie do zgody, człowiek ten byłby ją potrafił zakłócić, tak umiejętnie brał się do tego.

Podzegał ciągle. Wieczorem zawsze przynosił panu do łóża, co się w dzień przyzbierało: jak to dworzanie Bolkowi wyśmiewali nieczgrabność pana, jak go przezywali Klechą, jak wyzywano go naumyślnie do rzucania oszczepem, aby upokorzyć, jak ten i ów to i owo powiedział, a Bolko się wszystkiemu cieszył itp.

Zbigniew widząc, że królewiczowi rycerzem trzeba było być koniecznie, odziewał się po rycersku, miecz sobie ogromny przywieszał, na konia siadał, toczyć nim próbował, ale ani ze szkapą, ni z mieczem, ni z oszczepem, ani z łukiem rady sobie dać nie umiał.

Rankami pokryjomu uczył się owych rycerskich sztuk od Sobiejuchy; ten gadał o nich dużo, wiedział wszystko, chwalił się bezmiernie, a na razie mu się zawsze coś psuło. Łuk niedopasował, strzały były nie dobre, oszczep nie przychodził do ręki itp. Zbigniewowi się również nie wiodło, konie go tłukły, zbroja mulała, miecz mu zawadzał, a choć siłę w ręku miał wielką, gdy oszczep cisnął, pewnie poszedł nie tam, gdzie chciał, a gdzie się go nikt nie spodziewał. Kaleczył konie i ludzi.

Siecich w kilka dni popatrzywszy na to, co się działo, zrozumiał wszystko, i gdy znów kró-

lem kierować począł, narzucając mu wolę swoją jeszcze silniej — natychmiast doradził Władysławowi, aby braci obu razem na pomocców wyprawił.

Na pozór słuszném to było.

Król dla przejednania posłuszeństwem faworyta i na gorszeby się był zgodził, tém bardziej na myśl tak zbawienną, która braci pobratać miała. Naprzód Bolkowi o tém oznajmił, Bolko pobiegł z nią do Zbigniewa.

Dwa silne pułki konne pancerników stały w pogotowiu, najdoborniejszy lud, najdoświadczeńszy żołnierz, najupodobański Bolkowi rycerze, którzy już z nim nie jeden raz robili wycieczki. Jeden oddział jeszcze stojący pod Santokiem zabrać z sobą mieli i ztamtąd wyruszyć. Bolko pragnął dotrzeć bodajby do morza, do któregoś z bogatych grodów, do ubiegnięcia łatwych, bo ludność ich dla handlu, częściej na morzu w łódkach, niż na wałach siedziała. Miasta były warowne, bogate, lecz letnią porą nie ludne.

Pierwszy ze swą drużyną gotów był Bolko i ruszył zaraz do Santoka. Zbigniewowi zabrakło ludzi do orszaku, jaki z sobą chciał prowadzić, ale brat nań dwa dni czekać przyrzekał, dając czas do zebrania koni i czeladzi. Marko po swojemu się ruszał, krzyczał, biegał, kłął, a zawsze mu się nie wiodło nie z jego winy, przez ludzi. Ostatniego dnia Zbigniew opóźniony, puścił się brata doganiać.

Marko nie odstępował go na chwilę, on i po-

słuszny a głupawy Zahon, jechali przy królewiczu. Zahon wioził mu hełm, gdy zaciężył, to miecz, gdy się plątał i po koniu tłukł, to tarcz małą malowaną, z którą Zbigniew nie wiedział, co robić.

Nie nawykłemu do żelaza ciężły i tak blachy, które na sobie mieć musiał, wadziła ostroga u nogi, rozpiwały się na nim sprzączki, napierśnik dusił, pas nacierał, a i konia było mu dobrać trudno.

Szczęście owo wielkie, które spotkało Zbigniewa, na chwilę prawie nie odmałowało się w jego twarzy. Pośepny był, gniewny, szyderski, mrużący na wszystko, nikt mu dogodzić nie umiał. Jeden Marko ze swym językiem najlepiej mu do smaku przypadał. Nie żałował też dla pana przyprawy smakowitej i błuzgał na wszystkich. Dworu tajemnie od niego się dowiadywał królewicz, w jakich łaskach był u królowej Judyty Sieciech, który niekiedy do późnej nocy sam na sam z nią przesiadywał, jak znowu król słabym był i posłusznym dla wojewody, który czynił z nim, co chciał; jak się wychowywały królewny, co poczynwały niewiasty, otaczające królowę, któremi się ona posługiwać umiała, kto z wojewodów wojewodą trzymał i był mu zaprzędany, a kto z nim zadzierał.

— Miłościwy królewiczu — odezwał się w drodze Marko Sobiejucha do pana, gdy nieco za

sobą orszak swój zostawili, ciągnąc lasem piaszczystym — miłościwy panie, gdy da Bóg, stanimy w tym Santoku, a przyjdzie ciągnąć dalej, jak miłość wasza postanowi co do dowództwa?

Zbigniew wprawdzie sam czuł, że na dowódcę się nie zdał, ale słuchać też nikogo nie był rad. Pomyślał nieco.

— Juściż mnie jako starszemu — odezwał się — należy dowództwo, nie komu. Inaczéj nie powinno być. A coż mam począć?? co?

— Co? jak? — wyrwał się Marko. — Jeżeli miłość wasza wprawy nie ma, toć mnie na swém miejscu może uczynić namiestnikiem. A ja! ja, już sobie radę dam...

Nie na takie się to rzeczy patrzyło. Nosa mam, ludzi w garść potrafię wziąć. Starszemu królewiczowi dowództwo przynależy. Jak się miłość wasza raz dasz wziąć pod rozkazy, wszystko przedadło. Starszeństwo najpierwsze prawo na świecie.

— To też spodziewam się, że ten gołowąs mi przeczyć go nie może! — odezwał się Zbigniew.

— A jakby się oparł? — spytał Sobiejucha.

— Nie poddam mu się — rzekł Zbigniew.

— Nie potrzeba, nie można, nie godzi się poddawać — wołał Marko — przy waszój miłości musi być dowództwo. Bolka trzeba nauczyć

posłuszeństwa. Kiedyś już ci wy nie kto, weźmiecie całe to królestwo, będzie musiał się poddać i słuchać, a siedzieć na swym udziale cieho i powołany iść pod chorągiew!

Myśl ta wyłącznego panowania jeszcze była Zbigniewowi nie przyszła, pochlebiała mu.

— Król stary, niedolega, do niczego, Sieciech jawny zdrajca — kończył Marko — trzeba zawczasu myśleć o sobie, bo inaczej Bolko i jego ulubienicy was uprzedzą.

— Nie dopuszczę — mruknął Zbigniew.

— Zręczny jest i mężny, ja mu tego nie przezę — mówił Marko — na żołnierza dobry, na wodza się nie zdał. Zapaleczywy, prędki i łatwo-wierny.

E! e! Wasza miłość nam będziesz panować! Inaczej nie może być!

Przez całą drogę tak Sobiejucha przygotowywał swego pana.

Nad ranem stanęli w Santoku; gdzie już do wyruszenia wszystko było pogotowiu i ciągnąć trzeba było spieszenie, aby pomocy nie dowiedzieli się zawczasu o wyprawie.

Zameczysko owe, które kluczem Polski od pomorza zwano, nad samą rzeką położone, a raczej dwoma obwarowane, mocne było tylko moczarami i błotami, które je dokoła otaczały.

Wały i zaborole miało dosyć krępkie, lecz

rozległą zajmując przestrzeń, gdyby nie woda, trudneby było do obrony.

Roilo się tu teraz rycerstwem, a żołnierza takiego nie widział Zbigniew jako żyw, bo i pod Kruszwicą równego mu nie było.

Pancernicy chłop w chłopu, na koniach krzepkich, zręczni, wojacy już doświadczeni, śmieli się tak do wojny, jakby do najmilszój zabawy. Bolko wcześniej tu przybywszy, już ich był opatrzył wszystkich, rozporządził, ustawił, podzielił, którzy przodem iść mieli, jacy na tyłach.

Większa część tych ludzi знаła go i kochała, bo był jak bardzo ulody, tak nad wiek swój dzielny i roztropny.

W dolnej izbie na zamku, niepocześnie wcale, bo tam oprócz załogi i starosty, nikt nigdy nie przemieszkiwał, Bolko spał, jadł i przyjmował starszyznę. Po ławach i stolach tyle było hełmów, rękawic i łuków, co misek próżnych; w kątach stały oszczepy i pociski snopami. Odzież leżała po kątach, ruch wchodzących i wychodzących drzwi nie dawał zamykać.

Bolko na ławie siedząc jak na koniu, przyjął przybywającego Zbigniewa, który zdala się rogami otrąbil i wciągnął z wielką uroczystością na zamek, miecz, jak zwykle, każąc nieść przed sobą.

Że nikt go w podwórzu nie przyjmował,

a ludzie się po troszę śmieli, wszedł do izby nadęty, z przybraną powagą wielką.

— No! bywaj! bywaj! A toć czas ruszać! Wilki te niepocziwe, jak skoro się o nas dowiedzą, pierzchną w gąszcze i nie złapiemy ich. Im dłużej tu stoimy, tém gorzej dla nas. Na koń! na koń!

Gdy Bolko tak wywoływał, a ludzie głos jego posłyszawszy, ruszać się poczynali, Zbigniew stał przed nim nadąsany.

— Ja spoezać muszę — rzekł — a no, potem, zobaczymy.

— Jakto, zobaczymy? — odparł Bolko. — A cóż tu masz patrzeć, gdy wszystko opatrzone?

Zbigniew spójrzał bystro z pod brwi zmarszczonych.

— Jużciż ja opatrzyć muszę, bo przy mnie dowództwo — rzekł.

— Dowództwo! przy tobie? — wykrzyknął Bolko ze śmiechem. Nanezże się wprzód na konie siedzieć, oszezepem władnąć. Tyś jeszcze nie wojak, pierwsze pole twoje, a już ei się dowództwa zacheiewa? Chyba, żeby nas w puch rozbito! Nie znasz ani pomorców ani ich kraju.

— Ja starszy pod nieczyje rozkazy iść nie myślę — zawołał dumnie Zbigniew.

— No to siedź w Santoku i zostań! — rzekł

Bolko — ja też pod twój dowództwo nie idę. Tyś nie żołnierz...

— Aleś syn królewski jako i ty — i starszy — krzyknął Zbigniew.

Bolko się znarszczył trochę.

— Ja ci nie zaprzecam ani synów twa, ani starszeń twa, aleś ty na wojnie klerykiem — zawołał Bolko.

Wyraz ten dotknął mocno Zbigniewa, krew mu uderzyła do głowy, padł na ławę i podparł się na stole.

— Czyli co chcesz, jakom rzekł, inaczej nie będzie — zakończył.

— No, to nie będzie nie! — krzyknął porywczo Bolko. — Ludzi szkoda, ciebie żal. Łeb ci utną. Wprzód się trzeba wojny nauczyć, nim się wodzić zechce... Na zgnęb ludzi prowadzić ja nie dam.

— Jeżeli sam wojny nie znam, znajdę takiego, co za mnie będzie znać i powiedzieć, ale z mej ręki — odezwał się starszy.

Bolko się z ławy zerwał.

— Na prawdę to rzekł? — spytał.

— Nie na żart — zamruczał Zbigniew, którego twarz zaś odpowiadała.

— No, to ja ci też powiem na prawdę, że pod tobą ani wodzem z twojej ręki, ja nie idę. Wezmę sobie połowę ludzi, bierz ty drugą i próbujmy szczęścia.

Zbigniew milczał.

Marko Sobiejucha stojący w progu, dał znak głową, aby tego nie przyjmował...

— Ja z polową nie pociągnę, bo siła mała — odczwał się starszy.

— No, to zostań w Santoka, począł — śmiejąc się Bolko — dla mnie połowy dosyć, cały powrócę i łup jeszcze przywiozę.

Chciał wychodzić w podwórcę, bo go już piekło i pilno mu było, gdy Zbigniew go zatrzymał.

— Ja cię ztąd nie puszcę — nie pozwolę — jam tu dowódcą nie ty.

Bolkowi krew zawrzala.

— Hej — zakrzyknął — ze mną dobrém słowem wiele można dokazać, ale rozkazywać mnie i siłą brać! Nie twoja rzecz! Wierz mi, nie próbuj się ze mną, nie zadzieraj z bratem! Gdyśmy cię z więzów uwolnili pokornym byłeś, takim zostań, lepij ci z tém będzie. Równym cię chcę znać, wyższym nie!

Młodemu chłopcu z oczów ogień się sypał, drżał mówiąc, postawę miał męską i rycerską, która postrach wrażała. Zbigniew pobladł i trząsł się.

— Com rzekł, to strzymam — odczwał się zniżonym głosem.

— A ja com powiedział od tego nie ustąpię — odparł Bolko śmiało.

— Ni ja.

— Ani ja!

Stali naprzeciw siebie, oczyma się mierząc wyzywającemi, Bolko uśmiechał się pogardliwie, odwrócił tyłem do Zbigniewa i powoli ku drzwiom mierzył.

Wyszedł w podwórzec, sypnęła się za nim drużyna, otaczając go, gniewna, rozsierdzona, z rękami na mieczykach. Gdyby był słowo rzekł, skinał, rzuciliby się i siekli.

W tém Bolko dwu przedniejszych tysiączników kazał pozwać do siebie. Stawił się pierwszy, nakuliwając trochę, Groza stary żołnierz, który nogę miał dawniej oszczepem przebitą, ale na koniu tego czuć nie było.

— Moje dwa pułki, niech się sposobią do pochodu — zawolał królewicz — brat mój pono na swą rękę chce szczęścia próbować swoim dworem; połowa ludzi niech do niego odejdzie, my zapolujemy sami.

Groza brodę pogladził.

— Już ludziskom się tuży i dłuży — mruknął — czasby iść.

— Pójdziemy zaraz — rzekł Bolko.

W tém Zbigniew się oknem wychylił z izby.

— Ani się mi waście ruszyć nogą — krzyknął — ja tu dowodzę, nie kto inny — ja!

Groza spojrzal nań, a potem ku Bolkowi obrócił. Ten zamilkł nieco.

— Jakże się wam zda? — spytał Grozy. — Tysiącznik sam nie wiedział co poczynąć. Marko już

wprzódę się z nimi rozmówił, ludzie wahali się kogo słuchać, za kim iść.

— Miłościwy panie — odezwał się Groza, kłaniając królewiczowi — uczynicie ład między sobą sami — to nie nasza sprawa.

— Mnie znacie — odezwał się Bolko do swoich, wskazując potem na wyglądającego oknem Zbigniewa: — A tego znacie wy? Byli kiedy z wami? bił się? Wiecie, czy go kto nad wojkiem postanowił?

Starszyzna stojąc z odkrytymi głowami, patrzyła po sobie, spozierała na Zbigniewa, ramionami dźwigała — nikt się odzywać nie śmiał.

— My tylko was miłościwy panie znamy — rzekł Groza po namyśle.

Inni za nim śmielej powtarzać zaczęli też samo.

— Dwa pułki do mnie, wyjdziemy natychmiast! — powtórzył Bolko.

W tém z za Grozy wysunął się stary Wyga, który graniczne lasy najlepiej znał, a na zwiady go zawsze posyłano. Chodził on wczoraj w okolicy i dopiero co powrócił. Chłop był odziany umyślnie, że go za pomorea rychlej było można wziąć, niż za chrześcijańskiego człowieka; zarosły, spoglądający dziko. Umiał się on nawet do miast i na zamki dostawać w pomorzu, w Kołobrzegu bywał nieraz na targach, w Szczecinie i Julinie, wędrował czasem aż do ujścia Łaby, znał wszyst-

kie gościńce i ściżki w tamtym kraju, a wierny był swym panom tak, że słowo jego nie zawiodło nigdy. Wyga stał na palcu nasłuchiwaną oparty, sklonił się Bolkowi i pocieszył po głowie ogromnem okrytą włosami.

— Wróciłeś przecie Wyga! — zawołał Bolko.

— Dziś dopiero — odezwał się głosem grubym posłaniec.

— Cóż słychać?

— Siła pomorców się zebrała, bo się gdzieś napaść gotują — począł Wyga — nie można przeciw nim z małą garścią iść. Przemko dowodzi, ludzie najlepsi, czatują jakby się czego spodziewali. We dwa oddziały na nich mało!

— We dwa? moje? — pochwycił Bolko.

— Mało — odezwał się Wyga — kto ich więc? Może języka już dostali, obstapia i przemogą, z dwoma iść bez odsieczy, chyba na pewną zgubę.

I głową potrzasał stary.

Królewicz się rzucił.

— Nie liczba stanowi — wtrącił — a no ręce i serca.

— Ale siła złego, dziesięć na jednego — odezwał się Wyga — co nadto to nie można. Chyba życie niemiłe. Całą siłą na nich uderzyć — przepołowioną nie — nie!

Stary wciąż to powtarzał — nie! nie!

Bolko rozgorączkowany nogami bił o ziemię i miotał się.

— Prawisz nam strachy! — krzyknął.

— Miłościwy królewiczu — zagadał Wyga z poklonem poufaly m starego sługi, który zna serce swego pana — nie gorącejcie się! jam nie winien, a prawdę mówię. Darmo się silić i ludzi tracić. Ja się wam na drodze położę, a nie puszczę.

Przemko zwąchał, że się coś zbiera w Santoku, czeka, z małym czym porywać się, to iść na zgubę.

Z gniewem prawie odwrócił się Bolko od niego, Zbigniew, który z okna wywieszony patrzył, rad był, że się tak składało.

Żołnierze byliby Bolka posłuchali wszyscy, gdyby na nich skinął tylko, starszyna na rozum biorąc, wahała się i naradzała.

Oba młodzi królewiczami byli, nie wiedzieć było kogo słuchać, starszego się lękali obrazić, aby się nie mścił; młodszego kochając, nie radzi byli opuścić. Patrzali na siebie, mruczeli, łokciami się popychali, odzywać się nie śmiał żaden. Marko do roboty językiem najwprawniejszy, chodził pomiędzy nimi po słówku sypał i podburzał.

Bolko się znalazł w położeniu, w jakim nie bywał jeszcze, z gniewu oszczep, który był w rękę wziął roztrzaskał i dwie jego połowy daleko rzucił precz od siebie.

Odszedł nazad do izby i na ławie przysiadł

chwilę. Drużyna jego, która się więcej niż on sam burzyła, do progu się cisnęła, czekając rozkazów. Oczów ze swego pana nie zdejmowali, czekając tylko, a nuż się odezwie, aby porządek po swoim uczynili. Zbigniew sam nie ostałby się był cały przed nimi. Lecz Bolko zadumawszy się, nie dał żadnego znaku.

Wykarmiony na rycerskich pojęciach szlachetności, na powieściach o wielkich czynach męstwa i poświęcenia, oburzał się niewdzięcznością Zbigniewa. Rachował, ratując go na uczucia braterskie, na serce jego, a znajdował drugim, zawistnym i niechętnym, godzącym już na krzywdę tego, któremu miłość był winien. Serce jego wzbięrało zgrozą, na widok człowieka, który w samym początku już godził nań i spychał z drogi.

Boleśniej dotknąć go nie mógł Zbigniew, jak odbierając mu zręczność zapolowania na tę dziec, nad którą zwycięztwo zdawało mu się pewnem.

Przebojem iść, z małą garścią ludzi, gdy Wyga i inni odradzali, nie chciał Bolko. Wstał z ławy, skinąwszy na swoich.

Zbigniew sparty jeszcze w oknie, patrzył na zwolna szykujące się oddziały.

— Ostatnie słowo — zawołał Bolko, wyszedłszy w podwórcę — nie ustąpicie mi dowództwa?

— Nie — rzekł Zbigniew gniewnie — nie — stokroć nie.

— Pruszyńska! — odezwał się, odwracając

Bolko — konie moje dawa. Drużyna do mnie! Wracamy do Płocka. Chwała iść z Bogiem, zostawiam was, waszytki konie i dowódców. Szczęścia życzę! ruszajcie!

Skinął na swoich, którzy żywo podbiegli chwytając rozrzucony oręż, wdzierać hełmy, narzucać łuki na plecy i wynosić się z izby.

Niektórzy śmieci się wyśmiewali, wszyscy radzi byli, że się pan ich pod rozkaz brata nie oddał...

— Groza! — odezwał się Bolko do starego tysiącznika, zostawiając wam dowodząc, idźcie z nim. Ja nie nawyknąłem pod ciębie rozkazy, wracam do ojca!

Podprowadzono mu już konia, który się rwał niecierpliwie. Kropierz z niego kazał zjechać Bolko, sam część zbroi odpiął i rzucił, rozkazując wzięć za sobą czeladzi, lekki oręż zostawił tylko przy sobie i skoczył na konia. Dwunna tu jego towarzyszków, dwór i czeladź śmiejąc się wesoło, opuścili zameczysko, wprost jadąc w lasy, aby po drodze się łowami zabawiać.

Zbigniew z Markiem i starszyzną został na zamku sam.

Sprawa szła nie po myśli, choć na pozór zwyciężył. Marko, który poduszczał do sporu, gdy przyszło ruszać samemu na dzikich pomorców, stał się dziwnie ostrożnym i ociągającym. Starszyzna zniechęcona odjazdem królewicza, szemrała,

że jęj Klechę za dowódcę dano, który wojny nie rozumiał. Tę nazwiskiem już go niemal wszyscy nauczyli się mianować. Ci, co zwykli byli chadzać z Bolkiem tylko, wprost odmawiali posłuszeństwa i warezeli. Z pozostałą resztą iść nie było można. Zbigniew miał przed sobą, że i ojca gniew ściągnie na siebie i starszyznę woj-skową zrazi. Zawolał do kąta Marka na radę.

— Co począć! — spytał — iść? nie?

Ów rycerz tak śmiały nie dawno, znacznie był ostygł, marszczył się i rozmyślał.

— Miłościwy panie, gdybyśmy ludzi podobnie mieli? czemuż nie? Poszlibyśmy i pobili. Nie takie my rzeczy na Węgrzech i z cesarzem dokazywali! Padlibyśmy na nich i stratowali pogan — a no, z kim tu iść? ludzie jacyś nie-chętni, podejrzeni, nuż zdradzą? Ja o moje gardło nie stoję, ale o waszą miłość, przyszłego króla naszego? Nuż nieszczęście jakie? nuż zasadzka? Pomorcy są rozbójniki chytre i przebiegłe. Sam ten Wyga wyznaje, że bodaj czekają, gotowi zasadzkę uczynić w lesie! Ja tych lasów nie znam, ludzi nie znam, gorzej, bo im z oczów patrzy zdrada!

Rozstawił ręce szeroko i zamilkł. Pomimo ochoty ogromnej, zdawał się zrezygnowany na powstrzymanie się od wyprawy. Zbigniewowi odpadła też chęć do walki. Powołano starego

Grozę, który przyszedł, oszczepem się podpie-
rając.

— Mówcie stary, co radzicie? iść, nie iść?

— Miłościwy panie — odezwał się tysięcy —
gdyby królewicz Bolko z nami był, rzekłbym
iść. Jak go nie stało powiem, iść mała rzecz.
myśleć trzeba, jak powracać.

Obrazil się królewicz i strząsał.

— Że nam jednego młokosa nie stało, dla
tego się już ważyć nie możemy? — zawołał Zbi-
gniew.

— Prawda, że on jeden i młody — rzekł
Groza — ale za dwudziestu stanie; ludzie za nim
idą inaczej, ciągnie ich za sobą... Bez niego.
jak bez ręki.

Zbigniew wargi zakąsił. Drndzy ze starszyny
także niezbyt wielką ufność w swą siłę okazy-
wali. Jeden z nich popatrzwszy na niebo, zapo-
wiadał srogą burzę, drugi nastawał, że pomorcy
pewnie wiedzą o wyprawie, inni mówić nie chcieli.
Rozprzegalo się wszystko.

Zbigniew usiadł zniechęcony na ławie, prze-
siedział do wieczora, dotrwał na zamku do rana,
i namysłiwszy się, że winę całą zrzuci na Bolka,
pułkom z sobą kazał iazać do Płocka powracać.
Wyprawa speliła na niczem.

V.

Na plockim zamku wieczorem dnia jednego letniego, cicho było jak zwykle; śpiewy tylko niewieście rozlegały się około komnat królowej, gdzie Judyta, trzy jej córki, liczny dwór żeński i mężki, prawie zawsze zabawiał się dosyć wesoło.

Dwa otoczenia, króla Władysława i królowej dzieliły się od siebie najczęściej, jak dwa obozy nieprzyjacielskie. U królowej liczba cudzoziemców, Niemców i Niemek szczególnież przeważała, młodzieży węgierskiej, Sasów i Frankonów kręciło się dużo, a była to drużyna pusta i próżniacza, dla której gędzba, śpiewy, płasy i umizgi całe stanowiły życie. Po królewsku, wspaniale, dostatnio, świetnie odbywały się zabawy wieczorne, ciągnące często do późnej nocy; gdy na smutnym kró-

lewskim dworze panowała cisza, a Władysław modlił się, trwożył i chorzał.

Całe dnie schodziły mu na myślach tęsknych, w których przewidywał przyszłe zawikłania i kłęski. Wróżył zawsze co najgorsze.

Dopóki Zbigniew był zamknięty, płakał nad tem dziećciem swém pokrzywdzoném; gdy go uwolnił, lękać się począł, ażeby z Bolkiem nie waśnili się i nie spierali, lękał się aby nie zniechęcili Sieciecha, lękał aby wojewoda zrażony nie odstąpił od niego. Obawiał się dzieci własnych, bał wojny, niezgody, niepokoju; ze wszystkimi radby był żyć w zgodzie, nikogo nie zniechęcać, okupić ciszę dla dni starości swój.

Widma chorobliwój wyobraźni, przeczucia straszne go prześladowały. Nocami sny miewał przerażające, po całych dniach gryzł się podejrzeniami i przywidzeniami. Strapionego ducha ledwie na chwilę nkoila modlitwa, troska powracała znowu. Dręczył się sam.

Sieciech wezwany do rady zawsze miał jedno na ustach, nżycie siły i grozy, król właśnie wstręt do obojga. Obawiał się skntków.

Wieczora tego zostawiony sam sobie z milczącymi nrzędnikami przybocznymi, król opanowany był przez te widma straszliwe kłesk i zawiehrzeń; gdy komornik wbiegł oznajmując o Bolka powrocie. Nie wiedział więcćj nic nad to, że królewicz sam przybył z drużyną, a wojska przy nim nie było.

W pierwszej chwili przeraził się król, myśląc że i rycerzy ich pobili, a Bolko ledwie uszedł z życiem. Cały drżący posłał po syna, aby mu się natychmiast stawil.

Pręsto więc z konia, jak stal, wpadł Bolko do królewskiej komnaty, i przybiegł do ojca, który, nim się doń odezwał, długo w objęciach go trzymał.

— Ocalony jesteś! — zawołał — Bogu niech będzie chwała! a Zbigniew?

— Nie byliśmy na żadnej wyprawie — odezwał się Bolko. — Co Zbigniew uczyni, ja nie wiem.

Nie rycerz z niego, a uparł się zwierzchnie dowództwo brać, z prawa starszeństwa. Ja pod jego rozkazy iść nie mogłem i nie pójść — wrócić musiałem z próżnemi rękami.

Pobladł król, jedno niebezpieczeństwo znikło, drugie gorsze groziło — to czego się lękał, co przewidywał, waśni braterska już gorzała w sercach.

— Powasniliscie się więc! — zawołał — bracia! wy! coście się milować powinni!

— Nie poczynalem spornu — odpowiedział Bolko — a ulecz mi się nie godziło. Rości sobie prawa nademną!

To mówiąc dumnie spoglądał,

— Miły ojczu — dodał — nie przeciwiłem się jego uwolnieniu, ani uposażeniu, byłem mu

bratem dobrym, ale się zgnieść i w służę obrócić nie dam!

Władysław oczy zakrywwszy siedział przy stole. Słowa te i głos trochę guiewny syna ścisnęły mu serce. Straszne sny nocne, czarna owa przyszłość, o którą drżał, stały przed nim. Grzech jego uścisł się nad nim.

— Cóż później będzie — odezwał się zechła — gdy już dziś tak jest? Dziś o dowództwo, jutro się zagryzać poczuicie o ziemię królestwa tego i panowanie nad niemi!!

— Nie — odezwał się Bolko. — Komu naznaczysz zwierzchność, temu posłuszny być musi drugi. — każesz mi słuchać, będę. Dziś myśmy równi, w jednych prawach, synowie twoi. Ja młodszy jestem, ale matka moja starszą była! On starszy nie prawem, ale tylko łaską twoją.

— Dość! dość! — przerwał król — ukój się, uspokój, uczynię wedle sumienia, aby zgoda panowała między wami. Jam stary, chory, niedołężny, puszczać wam rządy, patrzeć chcę jak je sprawiać będziecie.

— Ojcie miłościwy — przerwał Bolko — rządzcie wy sami, królujcie! Ja nie chcę nic — ino na wojnę gdy idę sam być muszę — nie pod nim.

Po krótkiej rozmowie odszedł królewicz. Od drużyny jego cały już dwór wiedział co się stało, pobiegli zausznicy z językiem do królowej, do Sie-

ciecha, który na zamku właśnie był i u Judyty siedział.

Gdy wieść tę przyniesiono, królowa natychmiast córki i służebne wysłała precz, aby sama pozostać z wojewodą.

W twarzy Sieciecha widać było zwycięstwo i radość złośliwą.

— Jest jakim przewidział — zawolał — poczyną się rozwiązywać sprawa. Nie stało się tak jakiem zapowiadał? że gdy Zbigniewa na wolę puszcza, jeść się będą, i zajedzą.

Królowa uśmiechnięta zbliżyła się doń i dotknęła jego ręki.

— A co dalej? — zapytała cicho.

— Co dalej? sądzę że nawet ich i podżegać nie trzeba, bo się nie pogodzą — mówił Sieciech — źleby było, gdyby się pojednali, a nawet pojednawszy się długo w zgodzie nie wytrwają.

Jeden z nich uwolni nas od drngiego, pozostałemu damy rady!

Sieciech ożywiony był i ciągnął dalej.

— Oba są otoczeni ludźmi mojemu, żaden ich krok mi nie tajny, żadne słowo nie wyjdzie z ust aby mi go nie powtórzono. Przy Zbigniewie mam zaszubika, dla którego on nie ma tajemnic, z Bolkiem trudnięj, ale i na tego oko mają. Ten głośno prawi co myśli.

W pierwszej wyprawie na pomorców czy na czechów, zapalczywość dziecinna go zgubi.

Uśmiechnął się chytrze, oczy mu pałały, królowa była uradowana i patrzyła nań z czułością wielką.

— Nie lękasz się swoich by cię zdradzili? — szepnęła.

— Nie, mojem złotem żyją — rzekł Sieciech — tamci ich za co kupić nie mają.

Mieniały się uśmiechy i wejrzenia; Judyta zdała szczęśliwą.

— Wszystko dobre — rzekła głos zniżając — lecz pospieszać trzeba. Król dogorywa widocznie mówię wam, powtarzam, dni jego policzone, ociąganie się nie godzi.

— Wszystko teraz spiesznym pójdzie krokiem — rzekł Sieciech.

Zasłona we drzwiach poruszyła się i zaszeleściła, wszedł podkomorzy królewski.

Uklonił się nisko wojewodzie i ręką wskazał, że król go wzywa do siebie. Zrozumiał to łatwo Sieciech, bo się spodziewał, że poń przyślą. Gdy podkomorzy się oddał, wojewoda w ślad za nim pośpieszył, spojrzał tylko na królową, która ściagała go oczyma, i odchodzącemu od ust pożegnania posłała poufale.

Nieraz tak i przy ludziach, okazywała czułość swą młodzińcowi.

Sieciech zastał króla na zwykłym miejscu, pogrążonego w myślach tak, że choć wszedł i sta-

nał przed nim wojewoda, nierycho głowę ciężką podniósł i zagryzione usta otworzył.

Milcząc potem wyciągnął doń ręce jakby pomocy błagał, jakby go wzywał na ratunek, pewien, że już Sieciech uwiadomiony jest o wszyściem.

Wojewoda z dobrze udaną obojętnością stał u stołu, jedną ręką w bok się ująwszy, drugą spierając na nim.

— Miły mój! druhu mój! rado moja jedyna! — placzliwie począł Władysław — wicie już!!

— A! — rozśmiał się niełitościwie Sieciech — miłościwy królu, macie to czegoście pożąдали, coście sobie uczynili sami, a co ja przepowiadałem. Toć było nieuchronne. Dwu ich jest teraz, wojna między nimi musi być, póki jeden nie zostanie.

Okrutne te słowa króla razily mocno, ręką rzucił odganiając przepowiednię, oparł się o krzesło bezsilny, i mruczał pocichu, jakby się modlił.

— Ratujcież! zapobieżcie — zawołał — radzcie. Jam niedołężny, jam słaby, nie podołam już temu. Z sobą bić się będą, a mnie, mnie zabiją! mnie!

Co czynić? co postawić między nimi?

Wojewoda ramionami strząsnął.

— Dwu gospodarzy w jednym domu zgoda trudna — rzekl — jeden ustąpić musi.

— Dom wielki! — zawołał król.

Tak się rozpoczęła rozmowa, gdy niespo-

dzianie podkomorzy odedrzwi postąpił oznajmując arcybiskupa Marcina, któremu biskup Filip towarzyszył.

Król posiąszawszy, natychmiast z krzesła chwycił się drżący, wskazując Siecechowi, aby mu rękę podał i spósznym, o ile zdołał krokiem, poszedł na spotkanie dwu pasterzy.

Zarówno jak poprzednicy jego, król nawykł był starszyźnie duchownej największą cześć oddawać, aby przykładem swym drugich do poszanowania jej wdrażać. Arcybiskup Gnieźnieński szedł z królem w parze władzą i znaczeniem.

Chory Władysław aż do drzwi swych wyszedł na spotkanie sędziwego Arcybiskupa. Przybycie jego nigdy pożądanśm być nie mogło. Po Siecechu, którego się równie obawiał jak kochał, O. Marcin pierwszym był dla niego, szanował go król i wierzył wń. Wiek, dostojęństwo, charakter nadawały mu powagę wielką.

— Bóg was tu zesłał w tój chwili! — zawołał król z niezuciem całując rękę pasterza, który go błogosławił — Bogn niech za to będą dzięki! Znajdujecie mnie w trwodze i boleści wielkiej.

Przybycie to tak pożądane dla króla, dla Siececha było najnieprzyjemniejszym wypadkiem.

Wojewoda zmienił się na twarzy, ustąpił z niej wyraz zwyczajki, nachmierzyl się, zafrasował, pomieszał; przeczuwał że mu arcybiskup znowu

szyki pomiesza. Nie siłił się nawet na udawanie spokoju i wesela.

Arcybiskup Marcin i biskup Filip usiedli u królewskiego stołu, wojewoda zatrzymał się nieco, wahał się widocznie pozostać ma czy odejść, pilnować króla czy opuścić go i zdać na doradzców duchownych, gdy Władysław przyzwawszy go szepnął mu coś do ucha, wydając jakieś rozkazy. Wojewoda zwołna i z niechęcią oddalił się z komnaty,

— Ojcie mój! — począł król, który ręce miał zwyczaj mówiąc składać jak do modlitwy, gdy był poruszony — ojcie mój, Bóg was tu zesłał do mnie w chwili ucisku, jako anioła pocieszyciela!

Arcybiskup milczał, król odetchnąwszy ciągnął dalej.

— Oto nuci się na mnie grzech mój. Ten, dla którego wyście wolność wyprosili, powstaje już na brata. To czegom się obawiał, przyszło, drzę i płaczę... Niezgoda wstąpiła w dom mój i grozi mi zgubą!

Arcybiskup zdziwił się i przeraził, wieść bowiem o wypadku jeszcze go była nie doszła. Król opowiedział mu to o czém od syna słyszał.

Starzec milczał długo zdumiony i przybity. Bolał nad tém z ojcem na równi.

— Pojednać ich musimy — rzekł — pojednamy!

Każemy u ołtarza poprzysiądz sobie miłość braterską. Krewkość to młodzięcza!

— A! zechcąż oni posłuchać nas, przejednać się! — rzekł Władystaw głową poruszając tęsknie. — Lękam się przysięgi, aby uniesieni lub podmówieni krzywoprzysiężcami się nie stali. Raczej zapobiedz potrzeba ażeby do wasni żadnego nie mieli powodu.

— Rozum tak każe — potwierdził arcybiskup. Król spoczął nieco i ciągnął dalej.

— Bóg mnie może natchnął, lecz we łzach oto myśl powziąłem. Zwierzam się jój wam tylko, niech ona przy was zostanie do czasu tajemnicą. Mnie sil codzienn brak więcej do rządzenia tém państwem. Sieciech wierny sługa mój, nie podola temu. Nieprzyjacioly ma liczne. Chcę między synów podzielić królestwo za żywota, patrzeć i czuwać jak rządzić będą. Płock tylko i Mazowsze zostawię sobie, starczy to dla mnie. Uspokoi się dusza moja!

Z widoczném politowaniem nad boleścią królewską słuchał arcybiskup.

— Rzekliście — odezwał się — miłościwy panie, że Sieciech wiernym jest waszym sługą.

Głos którym te wyrazy wymówił starzec, zdawał się wątpliwość oznaczać. Król przestraszony drgnął cały, oczyma powiódl dokola, jakby lękał się świadków niewidzialnych rozmowy.

— Nie wątpcie o tém — zawołał — wiernym

mi, najwierniejszym jest sługą. a służąc mnie nieprzyjaciół sobie uczynił wielu. Dla mnie on trzeciem dziećciem, więcej może, drahem, podporą, tarczą, rozumem moim, prawicą, wszystkiem.

Mówił coraz żywiej chory, aż tchu mu zabrakło.

Stary pasterz spojrział dokola i z piersi mu się dobyło ciężkie westchnienie.

— Nie przystałoby mi was, panie, z błędu wywodzić — rzekł z powagą — gdyby nie było to sumienia obowiązkiem. Wy miłujecie Sieciecha, lecz on więcej pono własne korzyści swe niżeli was miłuje. Jam powinien ostrzedz was.

Zbladły i wylękły król ręce łamał i oczy zakrywał.

— Nieprzyjaciół jego głosy w piersi się wazszej odbiły, ojczcie mój — zawolał. — W obronie mojej stojąc przyczynił ich sobie, zazdroszcza mu.

Biskupi spojrzeli po sobie.

— Po cóżbym zasmucać miał duszę twą, królu a panie — odezwał się arcybiskup — gdybym pewien nie był iż mówię prawdę? Patrzcie, słuchajcie, a nie zaślepiajcie się.

Na to nie odpowiedział Władysław, i umyślnie zwracając rozmowę, szepnął zcicha.

— Powiedzcie mi ojczcie, co sądzicie o zamiarze moim podziału państwa tego?

— Jeżeli spokój i zgodę nim okupić może-

cie? — odpowiedział O Marcin — dlaczegożbyście tak uczynić nie mieli? Imi panowie chrześcijańscy nie jeden raz tak dzielili kraje swoje. Lecz, miłościwy królu, zamiast mnie jednego a przytomnego tu brata mojego, miasto Sieciecha, czemubyście panów, ziemian, starszych królestwa waszego nie zwolali, aby im przelożyć myśl waszą?

Milczeniem król przyjął radę, zdawało mu się zbytecznem powoływanie starszych.

— Życzylbym — mówił arcybiskup — powołać na wiec dnehownych, świeckich, władków i żupanów a ziemian. Sieciech może przeciwnym będzie temu.

Posłyszawszy to król drgnął niecierpliwie.

— Jeżeli sądzicie, że potrzebny wiec — rzekł żywo — powołajcie nań, rozkażcie niechaj się zjadą. Zdaję to na przewielebność waszą.

— Uczynię jak żądacie — odpowiedział starzec patrząc na zmienioną i zafrasowaną twarz królewską. — Przyjdziemy w pomoc tobie, miłościwy panie. Niech się nie trwoży serce wasze, a strapienie dnaszy nie ogarnia. Miłościwy jest Bóg, w rękach Jego wszystko. Nie spadnie włos bez woli Jego.

Przywlókłem się tu — ciągnął dalej — bo mnie straszne doszły wieści o knowaniach Sieciecha. Nie pierwsze to, ani z jednych ust idą.

Ujrzwszy znowu słabnącego króla, starzec go ujął za rękę.

— Zamknij — rzekł — pójdź — masz wazęj przyznać do łoszu, gdy winny słowu, któ nie chcesz.

Zaśmiali, król tak był porażony, iż w istocie litę brzdzał. Spalone usta otwierał ciągł jakby mu zęba brakło, ręką uciął pierś, czy płuca, sił w dach stawał się coraz cięsz, jakby go tłuciło, mowało lkanie.

Rozmowa dłużej już przeciągnąć się nie mogła. Wstał arcybiskup przyrzekając, że imieniem króla na wień powoła.

— Uczyńcie to rychło — odczywał się król — dni moje policzone są, a w pokoju chcę umierać i rozterki nie zostawić po sobie.

— Będziecie żyć, miłościwy panie — rzekł arcybiskup, złożył ręce i zmówiwszy pociechu modlitewką łacińską, zabierał się do odejścia.

Król choć osłabiony wstał i kazawszy się pod ręce wieść komornikom swym, z tym samym obzędem jak wprzód odprowadził O. Marcina do progu. Dopiero gdy go znów w krzesło posadzon, padłszy na nie, jakby ostatek sił postradał. Oczy zamknął i obwisł omdlały. Nie miał czasu spoczywać, gdyż w tójże chwili hałaśliwie wpadł wojewoda Siciech.

Przestraszony król porwał się, a obaczywszy

go, lice mu się wyjaśniło, uśmiechnął się i rękę doń wyciągnął.

Przestroga arcybiskupa wcale nań nie podziałała, widać było, że się nawet nie myślał zwieńczyć alnbiętcowi z tego, co mu o nim doniesiono, aby jemu i sobie przykrości oszczędzić.

Nie po raz to pierwszy przychodziły do króla na Sieciecha doniesienia i skargi, obwiniano go niemal jawnie, zarzucano mu czyny, stawiano ludzi na świadki, król nie chciał słuchać i widzieć nie chciał.

Pewien tego ślepego przywiązania, wojewoda czuł się niem silnym: zdalo mu się, że żadna w świecie potęga obalić go nie może; nie rachował na to, że król raczej był słabym niż stałym w przywiązaniu i nadewszystko pokoju pragnął; że dla pokoju tego, w końcu i jego mógł poświęcić.

— Najprzewielebniejszy pasterz — odczuwał się Sieciech zajmując miejsce u stołu — nie przybył tu pewnie daremnie, aby nas pobłogosławić. Należy do nieprzyjaciół moich, wiem to i czuję. Czy znown o jaką zdradę mnie pomawia?

Słowa te zmieszały króla, którego wojewoda badał bystrym wzrokiem, zapłonil się, począł głową potrząsać, jakby zaprzeczał, choć cała postać i twarz dowodziły, że Sieciech odgadł iż mu coś zagrażało. Władysław nie odpowiadał, a wojewoda ciągnął dalej.

— Może arcybiskup przywiózł znowu myśl jaką tak zbawienną, jak uwolnienie Zbigniewa?

I szydersko królowi w oczy poglądał.

— Nie, nie — wyjąknął zmieszany król — o zdrowiu mém słabém i ubywających siłach mówiliśmy. Skarżyłem mu się.

Sieciech nie dopytywał więcéj, zwrócono rozmowę na spór dwu braci. Wojewoda wziął stronę Zbigniewa.

— Miłościwy królu — rzekł — Bolko choć tak młody nie cierpi już żadnej nad sobą władzy. Wojśław skarży się nań, że mu się z rąk wyrывa. I teraz gdy się wybierał do Santoka, uszedł przed nim niepostrzeżony, ochmistrz gdyby z nim był, zapobiegłby pewnie swarowi.

Kr. Zbigniew starszy jest wiekiem, starszy urodzeniem, cóż dziwnego, że chce mieć pierwszeństwo?

Powołać potrzeba tutaj obu i sprawę królewską władzą rozsądzić.

Milczał ojciec, nie sprzeciwiając się w nicém. Jak gdyby chciał wynagrodzić Sieciechowi oskarżenie tajemne, które miał na sercu, był dlań tego dnia pełnym laskawości i dobroci, zatrzymał go do późna u siebie, całował, ścisnął, a gdyby mu był już wprzód oddał wszystko co miał, byłby go obdarzył jeszcze, aby za obwinienie opłacić. Ta dobroć i czułość nadzwyczajna, choć do niej Sieciech był nawykłym, obudziła w nim jakieś po-

dejrzenie. Odszedł niespokojny posadzając nie bez przychyty arcybiskupa.

Trzeciego dnia, choć niepowołany Zbigniew przybył do Płocka.

Nie stanął jednak na zamku, ale się gospodą rozłożył w miasteczku w dwu czy trzech domach, z których mieszkańców wyrzucono na podwórze. Rażniej mu tu było i swobodniej, bo na zamku czeładź jego rozpasana dokazywać tak nie mogła, a on sam wstydził się onych zabaw, które sobie wyprawiał, często po całych nocach biesiadując z drużyną.

Na gospodzie przedziawszy się, kazawszy orszakowi swemu wystąpić po książecemu, jak był zwykł, w rogi trąbiąc, ze szczękiem i brzękiem wciągnął na zamek do ojca. Król się przestraszył wrzawą, ale mu dano znać kto był.

Choć miłość dla tego dziecka, a bardziej poczucie obowiązku, króla ku niemu pociągało, Zbigniew nigdy mu nie był tak jak Bolko ukochanym. Wstydził się Zbigniewa, obawiał się go, zrażał się obejściem szorstkiem i prawie zuchwalem. Niepytany wchodził do izby, nie oddając królowi należnego poszanowania, narzekaniami i skargami starego zameczal, ze słabości jego korzystał.

Dnia tego, czując się wiunym, tém szumniej i bezwstydniej wystąpił przed ojcem. Bolko był już tego dnia na łowach z drużyną, mógł więc swobodnie ze skargami się rozwodzić.

Wszedłszy i zaledwie się pokłoniwszy, zaraz zaczął od nich.

— Przyb, wam do miłościwego ojca i pana z żalem i skargą — odezwał się. — Wyprawa na niezem speliła, nie z mojej winy.

— Wiem — odparł król sucho.

— Jestem przeze starszy, należy mi d wództw ?

— Jako żołnierz i rycerz młodszy je toś — odparł król surowo. — Byłeś jeszcze w kleszcze, gdy Bolko dzieł: m już bił zwierza dzikiero i gonil nieprzyjaciela. Mogliście razem iść w zgodzie braterskiej, tyś spór wszczął.

— Wiem to — dumnie zawołał Zbigniew — że mnie zawsze będzie wina przypisana. Zaprawdę nie było po co mnie tu ściagać z więzienia i mianować królewskim synem, abym młodszemu służył za igraszkę i pośmiewisko.

W żywe oczy mnie przezywają klechą, wszyscy patrzą na mnie krzywo, Bolko się wyśmiewa, jego drużyna przy każdym spotkaniu, na gościńcu mnie przedrwiwa. Ja tego ścierpieć nie mogę.

Król popatrzał i nie odpowiedział nic, Zbigniew nadaremnie żale swe rozwodził.

Królowa Judyta, która już wiedziała o przybyciu Zbigniewa, a na złość Bolkowi znienawidzonemu przez nią i w myśl Sieciecha rada była starszemu bratu okazywać dobrą wolę, zabrała go z sobą na wieczerzę.

Król zawsze jadał sam i niewiele. Otwarty stół dla dworu i gości trzymała Judyta, lubiąca twarze nowe, weselość i śmiechy młodzieży. Więc tu było swobody niż cesarskiej siostrze i żonie królewskiej przystało, zamało poszanowania dla pani. Lecz wszyscy już byli do tego nawykli. Królowa sama chętnie otwierała usta, swawolne żarty strojąc i niepomierłą wyzywając weselość. Ona, trzy jej córki i mnogi orszak niemiek, polek i węgierek siadały przy stołach, u których też jadala młodzież dworska i starszyzna przybywająca do króla z pokłonami.

Lubiła Judyta przepych, stoły zastawione były wspaniale i zbyt kownie, lecz ładu i karności przy nich nie było. Dzbany gząc się wywracano, padały kubki, szepty i biegania poza ławami, wrzawa po kątach, zapelniała izbę jadalną.

Pod koniec każdej takiej uczty wieczornej zwolywano grajków, nucono pieśni, a że wina, miodu i piwa podostatkiem bywało, zabawy trwały do późna i bez płasów się nie obchodziło. Niemłoda już pani zawsze strojna, wymuskana, zalotna, chodziła sama w tany z wybranemi, dając sobie mówić więcej niż się godziło, choć w owych czasach godziło się bardzo wiele, na królewskich nawet dworach.

Królewien też nie strzeżono bardzo, a dwór pani sam się chyba musiał strzedz, bo mu nie broniono nic wcale.

Zbigniewowi rozchmurzyło się czoło, gdy się znalazł w izbie, w której woń mięsiwa, napoju, kwiatów i olejków, któremi niewiasty głowy sobie namaszczały, przyjemnie polechtała jego powonienie. Dawny kleryk miał wielką do niewiast ciekawość, a niezbyt w nich przebierał: dwór królowej obfitował szczególnież w piękne i wesole dziewczęta.

Pomiędzy Niemkami odznaczała się mlubienica i powiernica pani Greta, która, choć niezbyt już młodziuchna, bo pono do lat się trzydziestu zbliżała, miała jeszcze dobrze zachowaną świeżość jasnowłosych córek tentonów, a piękną budowę, wesolemi oczyma niebieskimi, śmiałością w obejściu się z mężczyznami, przechodziła swe współzawodniczki.

Wiele tam rozpowiadano o téj Grecie i przygodach jęj różnych, miała zawsze miłośników wielu, ale na kobierzec nikt jakoś prowadzić się jęj nie ważył.

Niezdalo się to ją obchodzić wiele, bo twarz miała zawsze wesołą i jasną, żart na ustach i odpowiedź gotową a wydawała się szczęśliwą.

Prawa ręka królowej służyła jęj do wszystkiego, do przyciągania tych, których potrzebowano, szpiegowania innych, jeśli się obawiano. Z dobrej woli czy z rozkazu Judyty. Greta starała się uwikłać w swe sieci młodziuchnego Bolka,

ogniste pacholę nad wiek dojrzałe. Zdalo się to bardzo łatwem, lecz Bolko, oprócz swych koni, psów, sokolów i wojennych zabaw nie lubił nic. Na dziewczęce zaloty odpowiadał śmieszkim obojętnym, a gdy te szły zadaleko, z dumą je odrzucał. Tak samo zbył się natrętnęj Greta.

Jasnowłosa, na pozór lagodna istota, która patrzała takimi niebieskimi oczyma, jak spokojne lazurowych wód tonie, w których się niebo przegląda, pod tym pozorem trzpiotowatym i chłodnym miała niepokamowane namiętności. Jak pod kwiatami wąż, pod jej uśmiechem dziecięnnym chowało się zemsty pragnienie. Królowa, która wiedziała wszystko, domysliła się i tego uczucia latwo.

— A! — szepnęła do Greta dnia tego — jednego królewicza nie udało ci się pochwycić, za to drugiego weźmiesz gdy zechcesz tylko. Ten ci pomoże dopiec tamtemu, co tobą pogardził i obraził srodze. Probuuj.

Greta nie miała dla pani tajemnic, jak królowa dla niej, spojrzala w oczy Judycie, zarazem pytając ją i myśl jej potwierdzając.

— O! Zbigniew — śmiejąc się mówiła królowa — parobek, niepiękny wcale, ale młody i królewicz. Gdybyś go sobie ujęła a przywiązała, zдалoby się to i dla mnie. Niebardzo mu się trzeba drożyć, bo chłopak nieśmiały być musi.

Poszeptaly tak z sobą na uboczu, a przed uczną wieczorną Greta się przystroiła tak, że zdała się mieć lat piętnaście i być jeszcze dziewczątkiem niewinném.

VI.

Pijany jeszcze klótnią swą z bratem i urojeném nad nim zwycięstwem, Zbigniew był dobrój myśli. Śniło mu się teraz królowanie, zemsta i zamiast sukni mniszėj, która go paliła jeszcze wspomnieniem, złotem bramowany płaszcz królewski.

Wszedł do izby, w której oczekiwano na królowę, ze swém zwykłym niezgrabstwem i butą, potracając ludzi, wywracając ławy i oznajmując się hałaśliwie. Wrzawa mu wszędzie towarzyszyła.

Za nim szedł niedobry dwór jego, zbierana włóczęgów drużyna, którą Marko Sobiejucha dowodził. Była to gromada z różnych narodów, różnego wieku ludzi złożona, po większej części takich, co się gdzieindziej nie mogli pomieścić.

Zbigniew czasu długiego swojego pobytu w saskim klasztorze na pól się stał Niemcem, chętnie więc i Niemców brał do siebie, miał kilku Czechów; koło niego też często szwargotano tym językiem dla drugich niezrozumiałym. Marko w swych wędrownkach nabył w nim wprawy. Mówił on źle ale za to wszystkimi językami znanymi, i tak śmiało, jakby się z niemi w ustach urodził.

Bolek miał samą młodzież z Polan dobraną, synów najmężniejszych władków i rycerzy, a jednego tylko starca, co jak Marko po zachodnich krajach wędrował, a praw ówczesnego rycerstwa i turniejów tam się nauczył.

Bołkowa drużyna przy królowej dworze lamać sobie musiała języki, aby się z nim rozmówić, Zbigniewa towarzysze między Niemcami i Węgrami byli jak w domu. Bratało się to dobrze z sobą. Królewicz, którego Judyta z początku wzgardliwie odpychała, mówić prawie nie chcąc do niego, nie lubił jej wprawdzie, lecz pewne poszanowanie okazywać jej musiał.

W chwili po wuijściu królewicza do izby, ukazał się ochmistrz królowej Judyty z laską w ręku, poprzedzający siostrę Cesarską, strojną jak zawsze, nśmiechającą się i wdzięczącą.

Za nią tnż przy królewnach szła piękna Greta, którą Judyta sama na dzień ten przystroiliła.

Miała na sobie obeisłą suknię niebieską, która pełne jej kształty aż do zbytku uwydatniała, złoty

pas, na czole przepaskę złocistą, na szyi łańcuch z wiszącymi poczepianemi do niego kółkami, pierścieniami i kutasami. Utrufione włosy jasne w części się zwijały około ślicznej twarzyczki na głowie. w części spadały na białe pulchne ramiona. Blask i świeżość tego kwiatka, który zdawał się dopiero rozwinięty, porwały oczy wszystkich, cmokali patrząc na nią starzy i młodzi, a Greta choć zdawała się niewiedzieć o tém, czuła że ją wejrzeniami ścigano.

— Eh! Marko mój — szepnął Zbigniew, patrząc na Niemkę przechodzącą powoli ze spuszczonej oczyma. — Dobrze że sutanę zrzuciłem, wolno mi teraz choć oczy napaść tą zwierzyną! patrzajno, co za lania! Człek by za nią w las pobiedz gotów!

Marko choć podziły był też wielkim niewiast wielbicielem, szepnął na neho królewiczowi.

— Nam to na tę zwierzynę tylko patrzeć zdala i oblizywać się, a wam ino chceć, to ją mieć będziecie łatwo.

— O! ho! — odparł Zbigniew — nie tak łatwo jak ci się zdaje, dziewczka dumna i królowej ulubienica.

— To co? — zawołał Marko śmiejąc się. — Będzie wolala ulubienicą królewicza zostać niż królowej! Ino skłóćcie palcem, a ja pójdę w swaty...

— Przecież się z nią nie ożenię! — zaśmiał się Zbigniew.

— Któżby myślał o tём tak zawczasu — powiedział Marko. — Tymczasem zabawić się nikt nie broni, gdy dziewczyna hoża i nie od tego...

Królowa dla Zbigniewa była دنیا tego jak nigdy łaskawą. Skinęła nań uprzejmie, a złożyło się jakoś tak, że królewiczowi miejsce dano tam, gdzie się niewiast siedzenia kończyły; usadowił się tuż obok pięknej Grety.

Z rachuby zalotniczej wypadło odsuwać się od niego bardzo bojaźliwie a skromnie; królewicz wyzwany tą obawą coraz bliżej przysnuwać się zaczął.

Spojrzeli sobie w oczy, ona stłumiła śmiech, z którym się lękała wybuchnąć, on mrugał ku niej tak śmiało, jakby nigdy klerykiem nie był.

W owych czasach pierwotnych, całе inny był stosunek z niewiastami, swobodniejszy daleko i śmielszy. Mówiono sobie w żartach takie piękne rzeczy, jak w dramatach Shakespear'a. jak nasi parobcy folwarecznym dziewczętom prawią. Choć we Francyi już *Cours d'amour* się poczynaly i słodkie słowa a dowcipne igraszki w użyciu były i modzie, igrano tak grubo, że dziś zagadek, które książęta królewnom zadawali, trudnoby w przedpokoju powtórzyć.

Królowa Judyta lubila, gdy około niej o ta-

kich wesołych rzeczach mówiono; wkrótce po usiádmieniu na ławach, śmiechy się rozpoczęły.

Greta mierzyła ciekawymi oczyma tego, którego z rozkazu pani ująć sobie miała. Niepowabny był wcale z długą swą twarzą bladą i grubemi rysy, wstępliwego coś w nim było, dzikiego, wzbudzającego obawę. Nawet namiętność ta, która łagodzi człowieka, w nim przybierała wyraz jakiś groźny i krwiożerczy. Ale i Greta była pod złotemi włosy, białą twarzyczką, lazuiowemi oczyma, stworzeniem co się bronić umiało, opanować potrafiło i nie ulękło łatwo.

W tém spotkaniu szło jój tylko o to, by wiedziała, czy zmóǳ go potrafi, czy w nim siła jest większa nad tę, którą w sobie czuła. Każdą niewiastę instynkt tego uczy cudowny. Dwa razy oczyma zetrze się z przeciwnikiem i wie czy mu ustąpić ma, czy go podbije i zapanuje nad nim. Dwa też razy Greta wlepiała swe na pozór spokojne wejrzzenie w Zbigniewa i za drugim kłeryk oczy spuścił zmieszany.

Rozmowa poczęła się dziwnie, od usuwania na ławec i napastliwego zbliżania. Zbigniew zwyciężył, dano mu się przysiąść blisko — umyślnie. Był pewien że zdobył siłą to miejsce.

Nim przyszło do słów śmiech się rozsiadł na ustach Grety, która aż zakrywała usta i oczy, tak się jój niby niepomierunie śmiać chciało, bo

potrzeba było wesolnością zagać rozmowę, aby ją uczynić śmielszą i ostrzejszą.

Zbigniew śmiał się także ryhoczając szerokimi nsty, nie kryjąc się, chwając przed wszystkimi z zaczepki i walki. Greta się nie wstydziła, choć na nią zewsząd patrzano. Dalszą rozmowę poczęły ręce pod stołem.

Jedna z nich nicostrożnie jakoś była zwieszona a tak śliczna, biała, pulchna, bezbrouna, strojna w ogromne pierścienie leżała tuż blisko, że ją królewicz pochwycił. Wyrwała mu się natychmiast, dziewczę się odsunęło niby strasznie przelękłe, niby srodze zagniewane. Zbigniew śmielęj pochwycił raz drugi tę źle niekającą rękę, poczęła mu się wyrwać znowu, wyrwała, dogonił ją w drodze i zatrzymał ściskając mocno. Trzeba było uleść przemocy! Człł jak drżała w jego dłoni.

Wszystko to doświadczona Greta mogła obrać chować z góry, a gdy królewicz już ją zagarnął, jęknęła po niemiecku.

— Jak to wasza miłość napastliwy jesteś i dla niewiast niebezpieczny. Prawdziwie.

— Byłoby obrażającem — rzekł kleryk — ażebym siedząc okolo tak ślicznej panny, nie starał się jęj sobie pozyskać!

— O! ja wcale nie jestem piękna! — odparła Greta wyzywająco.

— Jesteś najpiękniejsza — odpowiedział Zbi-

gniew. — Klnę się, żeś takićj jak wy nie widział jeszcze nigdy.

— Boś miłościwy pan w klasztorze nie widział żadnej — śmiejąc się rzekła Greta.

Na wspomnienie klasztoru zuienawidzonego, Zbigniew się zachmurzył nieco.

— Dajcie mi tam pokój z klasztorem — zawołał — nie wrócę do niego więcćj, psie w nim było życie.

Ręka, którą pochwycił Zbigniew już mu się wecale nie wyrывała, choć wysunąć się mogła gdy chciała.

Wejrzeniem pełnem politowania odpowiedziała Greta. Królewicz pił, jadł, zmnszał do kosztowania wina z jednego kubka, czemu się panna zrazu wielce bronila, spoglądali na siebie coraz poufalciej i porozumienie się nastąpiło przed końcem uczty.

— Piękna, najpiękniejsza Greto — odezwał się królewicz ośmielając coraz bardzićj — gdybyście mnie przyjęli za miłośnika sobie, kochałbym was jak należy.

— Alboż to wy wiecie jak miłować należy? — spytała figlarnie uśmiechając się panna. — Gdybyście posłuchali jak to tam u nas na zachodzie niewiastom cześć oddają i służbę przy nich pełnią rycerze.

— O tём ja nie wiem — przerwał Zbigniew — ale spróbujcie ze mną w przyjaźni żyć, zobaczy-

cie że nie ustąpię w tém nikomu; a miłować potrafię. Tego się pono człek uczyć nie potrzebuje.

Greta zdawała się namyślać. Nie wypadało jęj przyjmować tak łatwo, co tak bardzo zdobyć pragnęła. Podróżyc się trochę musiała.

U stołu inni się zajmowali tak dobrze wszelką swawolą, blazen królowej Spatz takie wygadywał słone rzeczy, iż się izba śmiechami rozlegała, a Zbigniew mógł tymczasem bez przeszkody z Gretą się zabawiać.

— No, powiedźcież mi — odezwał się w końcu — jakże to będzie z nami?

To mówiąc już ją w pól obejmował, a Niemka, choć się niby trochę wymykała, nie bronila jednak nad miarę.

— Ohydne zwierzę! — mówiła sobie w duchu w twarz mu patrząc zbliżka — ale i do takiego przyzwyczaić się można!

I zapalała go coraz mocniej niebieskimi oczyma.

— Królowa pani bardzo dla nas surowa — mówiła zeicha do królewicza. — Wy jęj nie dworujecie, ona się gniewa na was. Cóżby było gdyby się dowiedziała?

— Co? — rozśmiał się królewicz pochylając ku Niemce. — Co? Greta by poszła do mnie, a jabym jęj sobie odebrać nie dał. I gorzejby jęj nie było u mnie niż na królowej dworze.

Greta potrzasała główką.

— A! nie może to być! nie może! — poczęła żywo. — Wy się z ubogą dziewczyną ożenić nie możecie, a ja, ja!!

Zbigniew niedając jej dokończyć parsknął śmiechem i coś rzucił śmiesznego do ucha. Zarumieniła się mocno...

Szeptano już ciszej...

Tak w sposób bardzo prosty i pierwotny poczęły się miłości niepięknego królewicza z prześlizną Nienką, w której on strach i obrzydzenie wzbudzał.

Naprzeciw siedzący zdala jeden z tych co już miłość Greta mieli i stracili, patrząc na nią, mówił do drugiego.

— Baku miły, patrz ino na tłustą Niemkę? Spojrzaleś ty kiedy w oczy wężowi, gdy głowę z pod liści wysnąwszy ślepią swe otworzy? Zda się i on jakby żądła zię miał, jakby się w tobie serdecznie miłował, jakby cię chciał całować! Tak z Gretą, a i ona kąsa.

Greta tego dnia wydawała się odmlodzoném dziewczątkiem niewinném. Zbigniew pożerał ją oczyma; na królewnę zaczarowaną z bajki mu wyglądała. On co się jeszcze nigdy w życiu do tak uroczej nie zbliżył istoty — oszalał.

Gdy potem Judyta zawołała swą dziewczkę do siebie, a ta Zbigniewowi rzuciwszy wejrzeniem pożegnanie pobiegła do pani, królewicz stłumionym głosem szepnął do Marka.

— Niech się dzieje co chce, a ja ją muszę mieć. Dziewka jak jabłko złote. Choćby przyszło siłą brać.

Podpiły Sobiejucha skłonił mu się do nóg.

— Każecie? Skiniecie! Królowej ją z przed nosa pochwyciemy i na zamek który uwięziemy...

— Zaczekamy! zobaczymy — szepnął Zbigniew.

— Mnie się zda — dołal Marko — pójdzie ona i sama, gwałtu nie będzie trzeba.

Królewicz się uśmiechnął.

Judyta gładząc po twarzy ulubienicę szeptała jej.

— Już go masz? nieprawdaż? patrzałam. Dobrześ zażyła klechę, ani techną...

Greta się śmiała do królowej cał inaczéj teraz, z trochę szyderstwa i dumy.

— O! niewielka sztuka go było wziąć — rzekła cicho. — Tak miał długi post w klasztorze!

— A jeźliś go wzięła, trzymajże i nie odprawiaj jak innych — dodała królowa. — To się nam zda.

Gdy potém z kolei przyszły płasy i skoki, Zbigniew jak do wojny tak i do nich się nie przydał, patrzył tylko. Chciało mu się bardzo pochwycić oburącz tę niebieską sukienkę i ponosić ją przy sobie; lecz choć się winem dobrze podochocił, choć odwagę miał, czuł żeby go w tańcu wyśmiano.

Inni więc zabierali mu Gretę i nosili się z nią,

aż z zazdrości płonął, a ona go zdala oczyma wyzywała i jątrzyła.

Tymczasem królowa, która też z młodzieżą wyprawiała plasy, zdyszana zbliżywszy się do królewicza, pogroziła mu.

— Ino mi nie probujcie balamucić mojej Grety — rzekła — bobym się za to gniewała srodze. Znam ja was, tych co to po klasztorach siadywali, a ndało się im z nich wyrwać: nie ma nad nich straszniejszych ludzi na świecie dla biednych niewiastek.

Zbigniew się śmiał i dumniał.

— Chce się wam koniecznie zbalamucić którą — ciągnęła dalej królowa wdzięcząc twarz starą — macie innych podostatkiem, których mi nie żal. To dziewczyna jakiej drugiej nie ma. Do wszystkiego, do czego chceć doskonała, i do szycia, i do śpiewu, i do opowiadania gadek, i do tańca, i do usługi. Myślę że i do kochania wyśmienita być musi — dodała szydersko — ale ja jej do tego nie dopuszczę, boby mi się sprzeniewierzyć musiała.

— O! miłościwa pani, masz dworu dosyć! — odezwał się żartobliwie Zbigniew.

— Ale Gretę tylko jedną, a drugiej takiej na świecie nie znaleźć! — odparła królowa.

W czasie tej rozmowy umyślnie od tańca przybiegła dziewczyna do królowej, aby się Zbigniewowi pokazać zbliżka, z zarumienioném liczką,

z rozochoconą twarzą. Dyszała ze zmęczenia zębami pokazując białe, pierś się jej podnosiła, oko paliło. Królewicza dobilo wejrzenie. Królowa zaś Judyta, jakby zapomniała o niebezpieczeństwie, o którym mówiła, odeszła zaraz i zostawiła ich z sobą.

Usiadła na ławie zmęczona Greta, a Zbigniew, jak to było naówczas w obyczaju, podnózek wziął i na nim u kolan się jej przysiadł. Znaczyło to wiele, bo cały dwór patrzył. Greta tryumfowała.

W tej chwili jakoś ustala gędźba i śpiewy, ciszej się zrobiło w sali i z podwórca słyszeć się dały rogi myśliwskie, Bolko z drużyną z łowów powracał.

Greta posłyszawszy granie pobiadła.

— Pewnie brat mój z lasów powraca — zawołał Zbigniew — daję znać o swoim przybyciu, aby mu się radowano. Rycerz wielki!!

— Dzieciak jeszcze! — dorzuciła Niemka.

— A już mu się chce nad starszemi panować! — rzekł Zbigniew.

— O! gdyby mu tylko dozwolono, wszystkichby pod swe rządy zagarnął — rzekła cicho Greta.

— I was? — zaśmiał się Zbigniew.

— O! nie! nie lubię tego malca — odpowiedziała Niemka — nie dałabym mu się i sukni mojej dotknąć.

— Za to że go nie cierpicie — wtrącił kró-

lewicz — ja was jeszcze we dwójnasób lepiej kocham... Ja go też nienawidzę!

— Strzeżcież się go — szepnęła Greta — bo zapaleczywy jest i niebezpieczny.

— A jam też niełatwy do wzięcia i pokonania — zawołał brew marszcząc Zbigniew — wiercie mi!

Greta się trochę zapomniała, pochyliła ku Zbigniewowi, przecięła, zwiesiła nad nim, czuł oddech jej, woń włosów, dotykał prawie załotnicy, która z nim długą rozpoczęła rozmowę, wiedząc eo w nim drażnić było potrzeba, aby miłość i nienawiść rozbudzić. Nikt nie zważać się zdawał na nich, królewicz trzymał jej ręce, a te mu się nie wyrwały weale, i pierwszego dnia początek był tak dobry, że już o Grecie nie wątpił szczęśliwy...

Nazajutrz schadzka była umówiona, wiedziała o niej królowa, i Grecie się strzymać kazala, aby czekał dłużej i goręcej pragnął. Wszystkie wybiegi niewieście znano tu dobrze i posługiwano się niemi.

Zbigniew jak tylko do gospody powrócił, Marika i Niemea, którego miał na posługach, wysłał sznkać na podarek dla Grety klejnotu. Z niemalym trudem napytano u żyda naszyjnik złoty, który ledwie puścił z rąk bez pieniędzy za wysoką cenę.

Królewicz przyniósł go z sobą. Zarumienionej

Grecie wsunął w ręce ten podarek jako zadatek miłości wielkiej, a Niemka nie bronila się od przyjęcia go, co było najlepszym znakiem. Skryła go zaraz z ręcznie i wejrzeniem podziękowała.

Marko, który zdala przypatrywał się obrotowi całej sprawy, rad był bardzo.

— Dobra nasza — rzekł. — Która tylko podarki przyjmuje i tego co obdarza przyjąć potem musi. Będzie ją nasz pan miał.

Bodaj tylko mu boki nie wylazła — dodał wielki znawca ludzi — widzi mi się, że jakieś kocie oczy ma, które zdradą strzelają.

Marko, który jak sam często opowiadał, Niemki, Węgierki, Czeszki, Włoszki i Greczynki w ciągu swych włóczęg po świecie poznać miał zręczność, a niewiasty na pierwszy rzut oka wyrozumiewał i ich naturę, w Grecie widział coś niebezpiecznego, piękną była a straszną, królewiczowi przecie nie mówił o tém ni słowa, wiedział że toby się na nie nie przydało.

Po uczeie dnia tego Zbigniew znikłszy z izby znalazł się sam na sam w mieszkaniu Grety, które puste było, bo dwór jeszcze cały z królową zabawił się śpiewem i graniem. Na osobności mieli wiele spraw ważniejszych do roztrząsania. Greta chciała go przeciw Bolkowi rozjątrzyć i poburzyć, on ją myślał całkiem dla siebie pozyskać.

Skierowała też wnet rozmowę na spór i walkę z bratem.

— Sprawiedliwieście uczynili nie chcąc mu ustąpić — mówiła — to zuchwała gadzina co do oczów skacze. Wszystkich pokąsał już niemal o razy, królowę, wojewodę, ochmistrza swojego. Nikt go nie lubi krom jednego króla starego, a boją się go wszyscy.

— Ja się go nie nłękne — odparł Zbigniew uśmiechając się — ja go obale. Starszym jestem nie zechce mi być posłusznym zgniotę go. Siedziałem ja w więzieniu, będzie i on w niem zanknięty.

— Król chory jest — poczęła Niemka — królowa pani powiada, że gorzej z nim codzień. Wojewoda, o! ten wam sprzyja więcęj... Możecie poczynąć śmiało...

Zdziwionym był nieco Zbigniew znalazłszy oprócz milęj przyjaciółki sprzymierzeńca i pomocnika w Grecie. Zręczna dziewczyna starała się wmówić mu, że go nawet ostrzeże, jeśliby jakie od królowej niebezpieczeństwo zagrażało, choć zaprzysięgała, iż kochała bardzo królowę.

Zbigniew znalazłszy ją tak przyjazną, wypowiedział się jej ze wszystkich swych zuchwałych myśli i zamiarów. Przebiegłe dziewczę miało go w ręku.

Wieczorem późnym gdy z Markiem znalazł się w swęj gospodzie, nie ntrzymał i przed nim tajemnicy, wypowiedział mu wszystko z naiwnością człowieka, który potrzebując powiernika, nie prze-

biera w tém, co mu się następuje. Szczęśliwym był i pewnym, że z łatwością cel osiągnie.

Przeciw Bolesławowi spiskowano do późnej nocy, solą w oku był im wszystkim. Lubiło go rycerstwo, garnęli się do niego ziemianie, miał sławę dzielnego rycerza, potrzeba więc go było obalić. Zbigniew śmiało się kusił o to.

Od spotkania w Santoku, zdala już byli od siebie. Bolko lekcewazył brata i pokątne jego znowy, o których mu donoszono. W ojcu kochanym i kochającym go miał opiekuna, a ufał też własnej sile i druhom, których umiał pozyskać.

Zbigniewa zazdrość z dniem każdym rosła, ile razy obok siebie stawali, młodszy pięknością, postawą, zręcznością, wprawą we wszystkie rycerskie ćwiczenia brał nad nim górę. Waleczyć z nim ani się mógł porywać, burzył się i odgrażał.

Ojciec po powrocie Bolka starał się ich sprowadzić razem dla pojednania; stawili się na rozkaz, podali ręce, bo król tego wymagał, ale w obu pozostała też sama gorycz i niechęć wzajemna.

Bolko o bracie mówiąc, przezywał go klechę i urukiem.

Zbigniew mu się odwdzięczał lżąc go jako jaszczurkę jadawitą co do oczów skacze.

Greta coraz silniej poduszczała Zbigniewa; półsłówkami rzucanemi przy spotkaniu waśni się

zajętrzała, a wojewoda, choć z rozkazu króla starał się ją jednać, dopomagał do utrzymania niechęci. Czasem i królowa Judyta, niby przypadkiem potrafiła mówiąc ze Zbigniewem o niezdolności Bolka, dumę, jego chęć wynoszenia się i panowania.

Wszystko do palącego się już ognia dolewało smoły.

Na Bolku jednak najmniej znać było, żeby go to miało wielce obchodzić; on i jego drużyna żyli trybem całę odrębnym, niewiele się łącząc z innemi. Rycerskie gonitwy, małe turnieje na wzór tych, które się na cesarskim dworze co roku prawie uroczystie odbywały, wprawa we wszystkie wojennego rzemiosła obyczaje, były głównem zajęciem i celem życia dorastającego królewicza, który przedwcześnie pasa rycerskiego się dorabiał.

Ani pohamować, ani pokierować nim nie mógł powołny i dobry Wojsław, który się ochmistrem nazywał, ale był nim więcej imieniem niż rzeczą. Bolko zwłaszcza w ostatnich czasach wymykał mu się ze swoją drużyną i nie buntując jawnie, nie słuchał go już wcale. Wojsław żołnierz mężny, wojak wprawny, nieobrotny był, ciężki, myślał nad każdą rzeczą długo, badał pilnie, gdy Bolko chwycił porywczo co wiatr przynosił i pod pierwszym wrażeniem leciał na oślep nie licząc się z żadnem niebezpieczeństwem, ani z ofiarą jaką czynił, choćby cel wart jęj nie był.

Wojsław nim się namyslił, nim coś postano-

wił, wychowawca jego już nie było, a niezawsze i dognać go potrafił. Śmiał się potém i dawał łaskę two przeblagać miłemu chłopięciu, do którego tak był przywiązany, że dlań Siemichowe pokrewieństwo i łaskę poświęcał.

Bolko jeśli którego dnia na łowy nie ruszył, siadał na koń z Pruszną, Doliwą, z innemi przybocznemi harcowali po podworcach i na łąkach nad Wisłą, ścigając się, przeganiając, rzucając oszczepami do celu, strzelając z łuków i kuszy, spotykalając się na tępe włócznie.

Do tych zabaw królewicz miał namiętność szaloną. Chciał się mu kto przysłużyć i łaskę jego pozyskać, to mu przynosił wiadomość, gdzie niedźwiedź miał łóżysko, gdzie na żubra lub tura stanąć było można. Za psy i ptaki oddawał co tylko miał...

Zwożono mu z zagranic, z Zachodu najpiękniejszy oręż, najwykwintniejsze zbroje i wszystko co do porządku rycerskiego należało. Trafił się podróżny co wiele po dworach bywał i kraje obce przewędrował, gościł go królewicz u siebie, zatrzymywał, nie puszczał, póki się od niego nie dopytał i nie nauczył wszystkiego, co mu nieznanem było. Nie było też w Niemczech, we Włoszech, u Franków i Gallów żadnej rzeczy nowiej w rycerstwie, którejby dla niego nie przywieziono.

Palila się młoda głowa myślą wielką, aby z innem rycerstwem chrześcijańskiem iść razem

na odzyskanie grobu Zbawiciela, i ledwie go tem powstrzymać było można, iż pogan miał pod bokiem, od których niebezpieczeństwo groziło i zwalczyć ich naprzód było potrzeba. Niejeden już raz Bolko padał do nóg ojen, blagając go, aby mu choć ze stu rycerzami dobranymi iść dozwolił z królmi i książętami chrześcijańskiemu na odzyskanie Jerozolimy.

Hlekoć zadrgała ta sprawa święta na zachodzie, Bolko się nią rozgorączkowywał; ani wiek, ani krajn położenie puścić go na niepewne losy nie dozwalały.

Sieczekli wprawdzie niezbyt był temu przeciwnym, lecz opierającego się ojca nie śmiał namawiać.

Na małym dworze królewicza tylko o podobnych rycerskich dziełach myślano i rozprawiano: o podboju Pomorców, o wojnie dla krzyża świętego, o zawojowaniu ziem nowych, ustaleniu granic, odzyskaniu krajów jednego języka, które Niemcy zagarnęli i obsadzali swoimi. Bolko miał wszystkie przymioty ówczesnego rycerza chrześcijańskiego, pobożność wielką, poszanowanie słabych, cześć dla starości, nieustraszone męstwo w boju i miłość wypraw nęcących niepodobieństwo i niebezpieczeństwami. Rzucił się najzapaļczywiej tam, gdzie coś nadzwyczajnego mógł dokazać, spełnić jakiś czyn bohaterski.

Cała ta garstka młodzieży . zowiąca się jego drużyną , do niego była podobną i naśladować go usiłowała .

Tu ściśle przestrzegano aby żadna z form rycerskich, z praw przyjętych na Zachodzie, zaniedbaną nie była; nie wyruszano w pole bez modlitwy i śpiewu, nie zabijano proszącego o miłosierdzie, obraniano bezbronnych. Nawet najdrobniejsze przepisy w trzymaniu włóczni, we wdziewaniu zbroi, w nżyciu oręża ściśle były przestrzegane, z czego prości ludzie naśmiewali się trochę.

Nie dziw też iż drużyna Bolka Zbigniewową wyśmiewała, sposób życia starszego królewicza wyszydziała, z pogardą mówiąc o kleryku, o jego balaśliwej gromadzie, o miłostkach z niemką płochą i całym obchodzeniu się niezręcznie a dumnie.

Królowa zdawała się o Greta stosunkach ze Zbigniewem nic wiedzieć weale, choć one nie były tajemnicą dla nikogo. Greta potroszę się z tem chwaliła, a królewicz też nie dbał o ludzi.

Bolko od dworu Judyty zdala się trzymał, albo się weale u niej nie pokazywał, lub milczący przychodził na rozkaz ojca, niedługo pobyl i wymykał się do swoich.

Nie udało się macosze w ten sposób go opanować jak ujęła Zbigniewa; Greta zawczasu próbowała go sobie pozyskać i została odepchniętą pogardliwie, inne też nie były szczęśliwsze. Nie

miały dlań niewiasty nrokn, a wychowanie męskie nancezyło go niemi pogardzać niemal, jako istotami słabemi, którym poddanie się uwłacza rycerzowi. Matki nie znał Bolko. wychował się od dziecka na męzkich rękach; matka, której nikt nie szanował, wstręt w nim i obawę obudzała.

Słyszał o tём jak na Zachodzie rycerstwo czeilo piękne panie, którym wiekniłą miłość poprzysięgało, lecz wyobrażał sobie niewiasty godne takiego przywiązania weale innemi nad te których dwór królowej był pełen...

Wszyscy już prześladowali niemkę klerykiem, gdy jednego dnia w przedsieni dworea, Bolko idąc do ojca na drodze swój spotkał strojącą Gretę.

Nie mógł i on się powstrzymać.

— E! piękna Greto! — zawołał — zapomniałem ci powinszować zwycięztwa. Słyszałem upolowałaś dużego ptaka.

— Jakiego? gdzie? — spytała czerwieniąc się z gniewu niemka.

— Ludzie go zowią czasem królewiczem, drudzy klerykiem, a mnie kazano go bratem nazywać. Prawdaż to piękna Greto?

Dziewczyna nie nie odpowiadając, popatrzyła mu w oczy dumnie, pozwalając mu się domyślać, nawet że miłości tej na zemstę nżyć potrafi.

Bolko po młodzieńczemu szydził.

— Piękny chłop! — rzekł — ale piękna Greta warta była zgrabniejszego. Nauczyłaś go tańcować i śpiewać? Do chóru w kościele nie wątpię że się przyda, ale do pieśni przy płasach, chyba wy go nałożyć potraficie.

Greta płonęła gniewem.

— Dużo innych rzeczy trzeba by go uczyć, piękna Greto! — śmiał się neliitościwy Bolko. — Nie wiem jak sobie z niewiastą poczyna, ale z koniem niedobrze, z lukiem licha, z oszczepem niezdarnie.

Nie mogła już niemka wytrzymać szyderstwa i z ust się jej wyrwało.

— Patrzcie tylko, aby ten niezgrabny człek kiedy się wam nie dał we znaki!

— A! o to się nie frasujcie, — odparł Bolko — ja się niedźwiedzi lękać nie zwykłem. Wiecie pewnie, boć to we dworze wszystkim wiadomo, że dawno temu ubił jednego właśnie gdy się do samicy zalecał.

Grecie zdawać się mogło że w Bolku zazdrość mówiła, wesołe chłopie, wcale o tém nie myślało, bo niemka była dlań niepiękniejszą od innych...

— Tak, piękna Greto, — dodał uczcie go a uczcie, bo dużo rzeczy nie umie i wiele się potrzebuje dowiedzieć, a lepszego ochmistrza nad was nie znajdzie!

Rzuciła nań oczyma złemi niemka, jakby mu grozić chciała. Bolko się uśmiechnął.

— Nie gniewaj się, piękna Greto — rzekł zacierając się iść dalej. — Cały dwór prawi głośno żeście mi obróżę nałożyli i na podwiązecz go prowadzicie, nie godziło się bym wam nie winshawał! Gotowicie jeszcze królewicza poślubić i zostać mi bratową! Ho! ho! — Śmiech Bolka rozjątrzył do ostatka dziewczynę, zdala zacisnąwszy pięść spojrzała nań wyzywająca, łagodna jej twarzyeczka zmieniła się nagle w głowę Meduzy, niebieskie oczy zciemniały, twarz zbladła, usta zadrgały, zęby się ścięły...

— Poznasz ty mnie i jego! — szepnęła odchodząc, — poznasz! a ja ci te szyderstwa przypomnę. I szybkim krokiem pobiegła na skargę do królowej.

VII.

Na dworcu biskupim w Gnieźnie, w wielkiej izbie przyciemnionej, jednego z tych dni, zasiadała rada duchownych.

Okolo wielkiego stołu, ciemnym okrytego kołbiercem, na krzesłach obok sędziwego arcybiskupa Marcina, widać było po prawej ręce Lamberta krakowskiego biskupa, po lewej Dyonizego poznaiskiego, dalej Paulina Ciołka kruszwickiego i Filipa płockiego.

W pośrodku pomiędzy nimi stał krucyfiks srebrny, a przy nim leżała bogato oprawna księga ewangelij. Izba wyglądająca jak klasztorna, ciemna, smutna, nie miała innych ozdób nad miedziane naczynie do wody święconej, a w kątku dzban i miednicę podobną.

Zasiadali w niej biskupi sami, a narada ważną

i trudną być mstała, gdyż po zagajeniu jej przez arcybiskupa, długie panowało milczenie. Starzec oczekiwał głosu jednego z braei, powiodł oczyma po milezących, a widząc, że nikt się ze słowem nie spieszy, eagnął dalej powolnie i łagodnie:

— Przelanćj krwi męczennika Stanisława winniśmy, bracia mili, iż wiara chrześcijańska i powaga nasza w krajn tym się ntrzymała. Zwyciężyła prawda. Chrystus Pan pognębił nieprzyjacioly krzyża świętego, szatana i czeladź jego sprosna. Zaehwiana malczko władza nasza, wróciła nam z czynszem i przybytkiem. Z władzą tą odpowiedzialność też eięży na ramionach naszych, za wszystko, cokolwiek się dzieje i stanie.

Dlatego wewzał was ojeowie mili, abyście ze mną wraz myśleli i radzili o losach kraju tego, nad któremi zaprawdę czuwać potrzeba; bo nie ma, kto by się nim opiekował, oprócz miłosierdzia Bożego.

Szatan nie śpi!

— Alboż zagraża mn niebezpieczeństwo jakie? — zapytał biskup Lambert — my o żadnem nie wiemy!

— A ja widzę je i sądzę wielkiem — mówił arcybiskup powoli. — Myśmy tu nadzorcey i stróże, do kogoż, jeśli nie do nas należy czuwanie?

Króla mamy bez korony; dogorywa dobry, pobożny pan bez woli i sily. Sieciech pod nim kopie zasadzki, cesarska siostra trzyma z nim,

opanować chcą królestwo to, aby je zaprzędali. Dopniemyż, aby państwo poszło na ręce obce, a kościół nasz pod zarząd Magdeburskiej metropolii!

— Król synów ma dwu — przerwał Dionizy poznański — nie grozi więc z tej strony niebezpieczeństwo.

— Tak, lecz na obu ich siłciech godzi — jawném to jest — odezwał się o. Marcin. — Przy królu eien władzy, przy wojewodzie siła. Na grodach ma starostów ze swęj ręki, w wojsku dowódców którzy z nim trzymają, władza wszystkiem, skarbami swemi sumienia kupuje. Królem chce być. Żle nam ze słabym, z tym gorzej będzie, przebiegły jest.

Milczenie długie przedzieliło pytanie to, od nierychlęj odpowiedzi biskupa Paulina.

— Przewielebny ojeze — odezwał się powolnie rzecając wyrazy, które ważył ostrożnie. — Widzi mi się, że przedewszystkiem patrzeć nam potrzeba, gdzie dla wiary a dla powagi Rzymu pożytek. Ten, czy ów panować będzie, nam o to idzie, aby był posłusznym kościołowi, aby się krzewiła wiara, mnożyły dochody duchowieństwa, rosła przez nie chwala Boża.

— Tak jest — odezwał się Filip płocki — obojętna dla nas, kto panować będzie ze zrządzenia Bożego. Przyznaję, iż ja sam niedawno

jeszcze obawy nie miałem od Sieciecha, dziś stawia mi się to inaczej.

Jeżeli on zawładnie i opanuje kraj: zuchwały, silny, przebiegły, sam jeden na państwo wielkie, rycerz mocny i czujny, ażali w nim nie mamy się obawiać drugiego Szczodrego, co zechce kościołem rządzić, zamiast mu ulegać?

Zaprawdę dla nas korzystniejszém jest, aby było kilku panów, z władzą i siłą mniejszą, bo ci się łatwiej powodować dadzą, i oni nas, nie my ich potrzebować będziemy. My, pasterze zawsze z sobą zgodni i jedni, w pomoc sobie przychodzić będziemy, oni w rozterkach do nas się nieiekać będą mnsieli. Nie o moc nam idzie ani o pychę panowania, ale o kościół i wiarę.

Kraj choćby podzielonym był, jeżeli połączenia ku obronie zapotrzebuje, przez nas je otrzyma; niech mu panuje jeden arcybiskup z biskupy, miasto króla — lepiej będzie.

— Kościołowi nie zagraża nic — począł Lambert krakowski — dzięki krwi męczennika naszego, nikt już się władzy jego opierać nie odważy. Spróbowali, jak ciężką jest ręka jego, jak straszny miecz mściwy, jak wielka potęga ogarniająca świat. Szukajmy, co dla kraju lepsze, o los kościoła, zaprawdę, spokojni być możemy, bracia mili.

— Ale przymnożyć mu bezpieczeństwa i oprzeć je na mocniejszych podstawach — odezwał się

Filip — nigdy zbyt uczułem nie jest. Nie padnie kościół na opoce zbudowany, ani przemożę go piekielne siły, lecz oszczędzić mu dni ciężkich, gdy w mocy nań, należy. Nie sobie ani dla siebie staramy się, dla matki naszej. *Von mir ist nichts, nur um die Mutter zu thun.*

Spojrzeni po sobie biskupi, arcybiskup milczał z głową spuszczoną, rękę na ewangelię złożysz.

— Bracia mili — począł znowu — powtarzam, com rzekł: Król słabym jest, Sieciech dla królestwa i dla nas strasznym. Nie utrzyma się on bez cesarza, a panowanie cesarskie kościołowi odejmuje siłę, przemiesia ją gdzieindziej. Czynić potrzeba co można, aby spadek po królu dzieciom jego pozostał.

Cóżbyście rzekli, gdyby Władysław zawczasu chciał państwo między synów swych podzielić? sobie pozostawując Płock, który pokochał, i w którym chce dokonać żywota?

Spojrzał po słuchających arcybiskup, badając wrażenie, jakie słowa jego wywierały i mówił dalej:

— Zznał mi król, iż za żywota niezynić to pragnie. Sieciech niewątpliwie stanie na przeszkodzie przeciw myśli zbawienną, my, pomocą ję być powinniśmy.

Jak sądziecie bracia najmiłsi?

Biskupi milczeli, rzecz to dla nich była nowa,

którą każdy chciał rozważyć, nimby wyrzekł, co o niej myśli.

— Sam król wam to zwierzył — zapytał biskup Lambert.

— Tak jest, mam to z ust jego — rzekł arcybiskup. — Radziłem, aby wiec zwołał duchowną i świecką swą radę i starszyznę. Kto wie, czy będzie śmiały i mógł to uczynić, jeżeli my mu w pomoc nie przyjdziemy. Mamyli posilkować? mówcie.

— Zaprawdę! zaprawdę! — odezwał się Filip pierwszy — powinniśmy.

— Dla mnie — począł Paulin kruszwicki — wątpliwa jeszcze, czyli podział na dwa nie jest wojny nasieniem. Widziałem pod Kruszwicą leżącego Zbigniewa, nie sądzę go panowania godnym, bo do niego jest niezdolnym, dumnym i chciwym władzy, umysłu płytkiego. Ambieya w nim wielka przy słabości i małej odwadze. Zaburzy kraj.

— Ja, którym się przyczynił do uwolnienia Zbigniewa — odezwał się arcybiskup — lepiej o nim trzymam. Człek się z niego wyrobić powinien, a widzę w nim, czego i rycerski Bolko nie ma, naukę. Czyta pismo, rozumie słowo Boże, dziekiem klasztoru jest.

— Ojciec mój — wtrącił żywo Paulin — nie znam gorszych nieprzyjaciół, jeżeli nie kościola to duchowieństwa, nad tych, co się z murów klasztoru wyrwali. Boją się go. Przykład mieliśmy

w Czechach. Wolę pobożnego rycerza, niż wywłokę, co zbił z pod klauzury — powtórzę — boję się o Pismo znające, obrać je będzie krzywo na usprawiedliwienie swoje. Bez nanki Bołko nas porzucować dla niej musi — ów niedouczony, pomijać zechce nami.

— Surowi dlań jesteście — odezwał się arcybiskup.

Zbigniew miał prawa, bo choć małżeństwo, z którego się rodził, przez kościół pobłogosławione nie było, naówczas i po dziś dzień małżeństw jest takich wiele. Przejdzie kraj, policzcie, ile podobnych w nim. Wszakże dopiero wdrażać poczynamy do tego lud chrześcijański tutejszy, aby się starym obyczajem nie brał i nie rzucił samowolnie, jak bydło. Władysław ową Hannę za żonę miał, Zbigniew prawym synem jest i ma pierworództwo.

— Temu nie przeczę — rzekł Paulin — boję tylko, że miasto jednego dwu ich jest.

— Lecz dla nas lepszym, choćby i dziesięciu ich było — odezwał się Lambert — albo tylu, ilu nas jest. Stałby przy każdym pasterz na straży. Siły zbyt wielkiej w jednem ręku dopuszczać nie możemy, by się nie stało co z cesarzem, co ze Szczodrym. Oni, jak skoro moc poczują, panować nam chcą, a tego się cierpieć nie godzi. Kościół wiódł i kierował od czasów Konstantyna po dni dzisiejsze, bo w nim było światło, musi też po

nad korony i berła doczesne stać i z rąk wodzów nie puszczać. Cesarze niemieccy gdy zawojowali kraje wielkie, wnet przeciwko władzy kościoła wystąpili, chcąc go sobie uczynić podwładnym.

— My się tu już wcale pokus podobnych obawiać nie możemy — dodał arcybiskup — górą stoimy i nie przestaniemy stać. Przeciw kościołowi nie wystąpi nikt, kościół trzyma, kościół panuje, kościół rządzi; król nieczem innem nie jest, jak z Rzymu nannaszonym pełnomocnikiem i ręką jego. Pierwszym sługą.

Umilkli drndzy, nie poczynął nikt.

— Niechaj więc ten podział kraju przyjdzie do skutku — odezwał się arcybiskup. Zapobieży on uzurpacyi Sieciechowój. Przyczynmy się wszyscy do dzieła tego. Zwołajmy po dyecezyach naszych przedniejszych ziemian, władyków i żupanów, włożmy na sumienie ich, aby w tém królowi byli pomocni.

Macieli co przeciwko temu?

Zatoczył wzrokiem arcybiskup, spoglądając po milezącej brać. Nie odzywał się nikt, nikt przeczyć nie śmiał.

— Co z tego podziału wyniknąć może — rzekł Lambert po chwili — przeniknąć trudno. Jeden z nich zechceci drugiemu być podległym? Rozłamanie się li państwo i osłabnie, zwłaszcza, jeżeli nierycerskiego ducha Zbigniew, prawem starszeństwa zapannje?

— Czuwać będziemy — odparł Panlin — tém lepiej dla nas, iż obejść się bez pasterzy swych nie będą mogli.

— Sieciech nad wszystko niebezpieczniejszy — dodał o. Marcin.

Nie było już sporn.

— Niech się więc stanie po myśli króla i wedle jego natchnienia, jakie mu Bóg zesłał — rzekł Lambert.

Nie spierano się z sędziwą głową kościoła, choć może zdania były niejedne, a Sieciech i tu mógł mieć utajonych sprzymierzeńców. Ale ci mówić za nim nie śmieli. Groźba podległości i zależności od cesarstwa i Magdeburga, starczyła na powstrzymanie zdań przeciwnych.

— Uczynić więc należy przygotowania do wieceu — zakończył areybiskup — a wykonać je zawczasu, ażeby Sieciech nas nie ubiegł, który chcieć go nie może.

Przeciwko niemu jedni my tylko skutecznie wystąpić możemy. Usłuchają nas ziemianie i królowi w pomoc przyjdą.

Zatém rozpoczęła się narada nad środkami wykonania i przeciągnęła długo, aż obmyślane i postanowione zostały.

Wstał nareszcie sędziwy starzec, i jak przed tą naradą wiódł do kościoła dla odśpiewania hymnu do Ducha Świętego, tak po niej popro-

wadził duchowiństwo do katedry, gdzie dzięki czynnemu hymn zanęcono.

Nie był nowością zjazd biskupów, ani mógł jakkolwiek wzbudzać obawę i podejrzenie; w sprawach kościoła powoływał często arcybiskup innych pasterzy dla narady, a świecka władza ani śmiała ani mogła mieszać się do kościelnych zborów. Mogli więc bezpiecznie biskupi przedsiębrać środki, jakie się im zdały właściwe, nie doznając żadnej przeszkody. W tej chwili właśnie po nпадku Szezydrego, po klątwie i interdysksie, potęga duchowieństwa była największą, a władza świecka mierzyć się z nią nie ważyła. W istocie kościół panował nad krajem.

Wieczór spędziwszy na wspólnej modlitwie i rozmowie z arcybiskupem, nazajutrz już powracali do stolic swoich. Wprost z katedry rozejchali się biskupi.

Każdy z nich od kościoła do kościoła jechał, od klasztoru do klasztoru, stawał u proboszczów, a zdążywszy do granic swej diecezji, zbacał do znaczniejszych dworów, lub zwolywał ziemian do dziekanów, aby im objawić, co czynić mieli. Opierać się woli biskupiej nikt nie mógł; pamięć strasznych skutków klątwy i wyłączenia ze społeczeństwa chrześcijańskiego, była wszystkim jeszcze przytomna. Królowi prędzej ważyłby się kto nieposłusznym okazać, niż temu, co go za życia mógł uczynić obcym, nawet rodzinie, a po skonie od-

mówić mu pogrzebu na poświęconej ziemi. Legenda o Szczodrym, krwawy dramat, po którym ledwie oschły lzy i zatarły się ślady, napelniał trwogą umysły.

Król wygnany, zmarły bez wieści, w szaleństwie czy pokucie; dziecię jego wśród wesela zgładzone niewidzialną ręką, w której przeczuwano prawicę Bożą, stały przed oczyma wszystkich.

Pasterze powróciwszy z Gniezna, natychmiast rozpoczęli o wiec starania, sami lub przez podwładne sobie duchowictwo.

I stało się, że wkrótce potem po wszystkich krajach ruszyli się ziemianie, władcy, żupanowie, starszyzna zbierając na ów wiec zwołany potajemnie. Nawet ci, co Sieciechowi sprzyjali, zmniejszeni byli jechać z innemi i stawiać się nań, aby postąpić potem, jak im będzie rozkazano. Nadzwyczajne te przygotowania, nie mogły ujść baczności Sieciecha.

Wojewoda, który czynnie około własnej sprawy chodził i zamki objeżdżał, znajdował się właśnie na jednym z grodów, trzymanych przeczeń z łaski króla, (choć wszystkie one prawie były w jego rękach) gdy nadbieżał do niego jeden z najwierniejszych sług, Strzepa, nocą już domagając się pilno, aby go do wojewody natychmiast wpuszczono. Zdawało mu się, że on pierwszy

przywiozie Sieciechowi wiadomość o znowie duchowienstwa i ziemian przeciw niemu.

Wojewoda widząc whiegającego do izby, w której siedział jeszcze na naradzie ze starostą i wojskową starszyzną Strzepę kurzem okrytego, w helmie, z twarzą przelekłą i oczyma zaognionemi, zmierzyl go wzrokiem niemal szyderskim.

— Za pilną sprawą jadę, goniąc za miłością waszą — wykrzyknął przybyły, helm zdejmując i z potu ocierając skronie — za sprawą pilną bardzo.

— Bóg zapłać — odpowiedział z półśmiechem wojewoda. — Siadaj na ławie, spocznij, tehu nabierz. Za dobrą wolę waszą wdzięczny jestem, choć nie wiem, z czem przybywacie. Bodaj jednak, czy wielka i pilna nowina, która was tu pędziła, wprzód niż wy, nie dobiegła do mnie.

Zdziwił się i zmieszał smutnie Strzepa.

— Wiedzieliżbyście już o wiecu? miłościwy panie? — zawolał — a możeż to być?

Wojewoda dał mu znak głową potwierdzający.

— Wiem o nim, ani się frasuję zbytnio — rzekl. — Pracują nieprzyjaciele moi i ja nie spię. Niech wiecują, radzą, niechaj dzieła jako chcą, nie to nie pomoże. Silniejsi przez to nademnie nie będą. Wiece jest sprawą arcybiskupa Marcina,

z którym do jawnej walki występować nie mogę. Obróci się ich własna robota przeciwko nim.

— Tak mówicie — odezwał się zdumiony Strzepa.

— Mówię tak i spokojnie na to poglądam — ciągnął dalej Siccicch. — Dwu czy dziesięciu ich stanie, w zgodzie z sobą nie będą. Nie lękam się tego. Młokosom podolać łatwem będzie. Król przy sobie zwierzechnią zatrzyma władzę...

— Na wiecu ozwą się przeciw wam głosy nieprzyjaciół! — zawołał Strzepa.

— Przeciw mnie jedne, za mną drugie — rzekł wojewoda. — Król, który z arcybiskupem się naradzał, który mi sprzyja, którego w rękach mam, nie powiedział mi nie. Znam go i sądzę z miłczenia, że krzywdy uczynić mi nie da. Gdyby gniew miał a niewiarę, wydałby się z nią. Królewicze oba podemną zostaną. Nie lękam się ich, bo wprzód nim walkę z Siccicchem, rozpoczną z sobą.

Szydersko rozśmiałwszy się wojewoda, zamilkł nagle, jak gdyby kończyć nie chciał. Dopiero odprawivszy tych, co z nim siedzieli, wrócił do oczekującego Strzepy.

— Nie lękajcie się — rzekł — ani o mnie ni o siebie. Z dwu słabych, nikt jednego mocnego nie sklei. Pójdą na wojnę w pulkach tysiącznicy moi, sotnicy także, po zamkach ludzie z mej ręki, powinowaci i druhowie; co oni z tą

garścią poczną, którą kolo siebie mają! Nie dadzą im uczynić nic, tylko co ja zechcę i pozwolę. Królewicze w moich palecach będą siekierą i dłutem, ani się spodzieją, jak pokieruję niemi. Gdy zechcę, spnszczę ich na siebie, aby się gryźli, gdy zażądam, pójdą gdzie wskażę i myśleć będą, że idą po własnej woli. Nie lękajcie się o mnie, powtarzam wam.

Strzepa człek bojaźliwy, ostrożny, a przytém gorący, nie miał zimnej krwi i zaufania w sobie Sieciecha; słuchał, ale widać było po nim, że tej wiary w bezpieczną przyszłość nie podzielał.

— Pewna to, że wasza miłość, dobrze wiecie co czynicie — rzekł, wzdychając — ale zbyt ufać ludziom i bezpiecznym się czuć, nie dobrze. Bolko ma wielką miłość u rycerstwa, u dworu, między ziemiany. Zbigniew, powiadają wymowny, przebiegły i przewrotny.

Wojewoda wzgardliwą przybrał postawę.

— Zbigniew chciwy wszystkiego, a do niczego nie zdolny — rzekł — rycerz z niego nie będzie, a u nas kto nie wojak, tym pogardzą. Bolko go nie lubi i złamie.

— A Bolka kto? — odezwał się Strzepa, z tym trudniej?

Sieciech długo nie mówił nic, naostatek wyrwało mu się:

— On sam; gdyby go wierna drużyna nie trzymała na wodzy, dawnoby już oszczep Pomorea,

albo kły dzika przecięły te rycerskie zapędy. Zbyt zuchwaly jest, sam się zgubi.

Strzepa się nie sprzeciwiał i zamilkł. Wojewoda począł się po izbie przechadzać. Zwrócił się ku niemu:

— Cóż o wiecu prawią?

— Gotują się doń wszyscy, a najgoręcej nieprzyjaciele wasi.

Z tych, co wam są wierni, dużo jechać nie chce, aby przeciwko arcybiskupowi nie stawiać i wam się nie sprzeniewierzyć. Starego się obawiają.

— Moim dawajcie znać owszém, aby się stawili wszyscy — odparł Siecic — i mężnie stali przy mnie. Gdy ich nie stanie, sam jeden będę.

Po tej rozmowie, Strzepa ledwie spoczawszy, ruszył znów, gońców rozesłano na wszystkie strony z hasłem nowém. Gdy duchowieństwo od siebie nagłilo o zbór liczny, z drugiego Siecic przykazywał się stawiać. ruszało się, co żyło. Dawno już nie pamiętano takiego ruchu i gromad, a pocztów na gościńcach; niektórzy, co od lat wielu z lasów się na świat nie pokazywali, wyciągnęli do Plocka. Tu się już sposobiono na przyjęcie, choć nikt nie mówił o niem, a król zdawał się nie chcieć wiedzieć o niczém. Królowa uwiadomiona przez Siecicę, niepokoiła się mocno, ufając tylko zręczności wojewody, że potrafi te zamachy odeprzeć; Zbigniew miał wiadomość od

areybiskupa i czekał, nie odjeżdżając z Płocka, Bolkowi ojciec zakazał się na dłuższy czas oddalać, aby na zawołanie był pod ręką... Niepokój był w powietrzu, a najbardziej dolegał choremu królowi, dla którego oczekiwanie stawało się nieznośną męczarnią.

Jesienny dzień wrześnieowy potajemnie na zjazd był naznaczony, pogoda mu sprzyjała, a pożądaną była wszystkim, gdyż mnogich i licznych pocztów ani zamek, ani miasteczko pomieścić nie mogło.

Gospody dla duchownych panów były u biskupa i na zamku w klasztorze Benedyktynów; panowie świeccy obozem się musieli kłaść na dolinie, namioty rozbijać i w nich z dworami swemi mieścić.

Na podzamecze już kilka dni przed zjazdem ciągnęły wozy, konie powodne, czeladzie, parobcy, którzy place zajmowali, koły bili, żłoby stawili, namioty rozkładali i dla panów swych co najlepsze starali się dostać stanowisko. Roili się pod grodem, roili po gościńcach, w uliczkach, na targowicy, dokoła miesciny, u studzien, nad rzeką, po łąkach.

Z okien zamku mógł te przygotowania widzieć król i królowa, a nikt się o nich odzywać nie śmiał. Naostatek w wigilią dnia św. Wawrzyńca, niektórzy z dalszych stron od Krakowa, Sandomierza, Wrocławia, co się najbardziej opóźnić lekali, ściągac się zaczęli.

Napatrzeć się było można pocztów różnych, zbroi wszelakiej i ryszunków, bo nie wszyscy się jednako zbroili i chadzali. Od granic niemieckich z nad Łaby wtargał obyczaj zachodni; władcy niemieccy byli szczególniejszemi zbroją podobni, którą sobie ztamtąd dostawali, z Saksonii, od Franków i z dalszych krajów. Szlęch ciągle też miał stosunki z Czechami i Niemcami razem, to też obieg języka i odzieży pełno było.

Przeciągały przez Polskę karawany kupieckie z Renu, wioząc z sobą wszelaką kunię ze wschodu, której wiele tu pozostawało.

Od Bolesława Wielkiego stawila się ziemia Polan dostatkami wielkimi, obfitością wszystkiego, tak, że mnich, który czyny Bolesława Krzywoustego opiewał, sławił pod te czasy jej: „po-wietrze zdrowe, ziemię żyzną, lasy miodorodne, wody rybopłodne, rycerzy mężnych, wieśniaków pracowitych, konie wytrwałe, woły oracze, krowy mleczne, owce wełniste“ ¹⁾.

Ten dostatek ziemi widać na jej synach było, a choć świetności cesarskich dworów nie znalazł tu obcy człek, ziemianie Władysławowi nie ustępowali zamożnością i okazałością pocztów panom na Zachodzie. Inaczey tylko ona się przedstawiała. Wiódł każdy z sobą po sto, po kilkadziesiąt koni dla bezpieczeństwa i wystawy, ciągnęły się wozy

¹⁾ Gallus.

ładowne i obfite zasoby wszystkiego co do życia było potrzebnem. Po drodze zaciążyć osadom i szukać przeżywienia nikt nie chciał, ani też wszędzie dostać było można żywności. Dla koni i sobie mnsiano wozić strawę. Każdy orszak zwiększał się tём jeszcze. Jeden władyka ciągnął za sobą czeladzi i cinrów gromadę.

Z wieczora już szare i pasiaste namioty gęsto się rozsiadały na łące, a około nich ogniska zapalać zaczęły. Rżały konie i psy, które każdy prowadził z sobą ujadaly wyzywając się.

Stawali ziemianie każdój części odrębnie przy sobie tak, że którzy od Krakowa szli spolem namioty rozbijali, Sandomierzanie przy sobie, Szlęzaacy, Mazury i Polanie, każdy obozem swoim. Opola też do jednego grodu należące łączyły się do kupy. Niektórzy ludzie rycersey obyczajem zachodnim u namiotów na wysokich żerdziach chorągiewki i znamiona wywieszali.

Sieciech nie spiesząc wprzód, umyślnie dopiero tego wieczora nadciągnął, i, jak gdyby chciał potęgę swą a moc okazać, wystąpił z poczem ludzi półtorój setnicy liczącym pod chorągwią własną, z rogami, trębaczami w jedną barwę przybrawszy cały swój orszak, wśród którego on na koniu dzielnym, w kołpaku z piórem, w pasie rycerskim, z łańcuchem złotym na szyi, w płaszczu książęcym jechał rażno i wesolo... a dla okazania też, że on tu gospodarzem nie gościem,

na łakę nie pociągnął z drugimi, ani gospody szukał, ale wprost na zamek się obrócił, trąbić rozkazując i jakby uroczysty wjazd odprawiając w oczach wszystkich.

Czeladzie i władcy, którzy już byli w obozie, zbiegli się patrzeć na to widowisko, ustawiając kupami po obu stronach drogi.

W nieprzyjaciolach Siciecha to wyzywanie i jakby naigrzanie się z nich wywoływało gniewy i oburzenie: drnhowie milezeli ciesząc się, iż swojego pewnym być musiał, gdy tak wspaniale występował bez żadnej obawy.

Wojewoda z konia zsiadłszy dopiero przed królewskim dworcem, naprzód do pana szedł z czolobitnością należną, chociaż wiedział, że go nie zastanie samym, bo mu po drodze oznajmiono iż arcybiskup, kilku duchownych i świeckich panów już go poprzedzili.

Gdy wojewoda w progu się ukazał, król w obec wszystkich wstał i przeciw niemu poszedł kilka kroków, a objawszy go rękami, z czułością wielką powitał, aby jawnie okazał, że serca jego i łaski nie utracił.

Z trwogą podniósł ku niemu oczy lękając się gniewu, lecz Siciech nadto przebiegłym był, ażeby się z nim wydał przy świadkach. Owszém licem wesółm króla i przytomnych powitał, jak gdyby okazać chciał, że go niesłusznie oskarżano.

Arcybiskup nie czekając, natychmiast objawił

głośno z czém przybywali duchowni i świeccy panowie i czego współ z królem życzyli, wołał zaraz opór złamać i postąpić otwarcie.

Wojewoda nie wydał się z tém co myślał, wysłuchał wniosku, a gdy się doń zewsząd zwracano, rzekł spokojnie.

— Jeżeli najmiłościwszy pan nasz, a ojcowie duchowni współ z panami ziemiany — widzą, iż dla uspokojenia i ładu w królestwie tém, potrzebny jest podział zawczesny,—a czemużby się za dość woli pana naszego i ziemian stać nie miało?

Dodał, iż dobrém to nawet znajdował, że król za żywota przekonać się mógł, jak się synowie jego do rządów brać będą, ciesząc ich walecznością i rozumem.

Po tém przemówieniu Sieciecha, który się niczem nie przeciwil, duchownym i świeckim panom nie pozostało już nazajutrz nic, tylko nroczyć się dokonać, co postanowiono.

Król słuchając Sieciecha radował się niewypowiedzianie, a gdy ten mówić dokończył, wstał go uściskać odzywając się, iż na jego opiekę i pomoc dla dzieci najwięcej rachuje.

— Ten to jest,—odezwał się wskazując na wojewodę biskupom i wszystkim przytomnym,—ten jest, któremu winien królestwa utrzymanie i bezpieczeństwo; ten jest, który niem za mnie rządził, obraniał je, zbogacił i dał mu zakwitnąć; ten jest

któremu zawdzięczam pokój dni moich, sam nieudolnym będąc i seborzałym.

A jako się mną opiekował, tak mam nadzieję, że synów moich z ojcowską pieczołowitością strzedz nie przestanie.

Arcybiskup Marcin nie mógł podziwienia swojego ukryć, widząc Sieciecha tak na wszystko gotowym, gdy opór się w nim znaleźć spodziewał, spojrzał nań niedowierzająco i rzekł z powagą kapłańską:

— Bogu niech będą Najwyższemu dzięki, iżeśmy wszyscy zgodni a jedno dobrem widziemy.

U królowej wieczorem dawnym obyczajem stoły były zastawione dla wszystkich, którzykolwiek przybyć chcieli. Czeladzi niezłą na podwórcach zgotowano, beczki powytaczano, ustawiono kadzie i cebry, chleby, sery, mięsiwa zalegały ogromne pomosty tak, aby nikt nie odszedł głodny.

Zbigniew wśród tłumu przybywających kręcił się czynny, chcąc sobie u ludzi zaskarbić łaskę, wymową łatwą i słowa dobrymi ujmując ich sobie.

Bolko na przekorę jemu dnia tego wyruszył w pobliskie lasy na łowy, jakby się wcale nie troszczył o to, co się gotowało, nie zdając dbać, jak ludzie o nim trzymać zechcą, albo nadto ich będąc pewnym. Późno wieczorem, gdy już na obozowisku do snu się zabierano, przeciągnął go-

ścińcem orszak jego wesóły, z psy i sokolami, czwalem objuczony zwierzyną, nucąc śpiew głośny, który się wśród cichłej nocy dziwnie rozlegal...

Powybiegali z namiotów ludzie, wiedząc kto pędził, bo go niektórzy poznali. a chcąc przypa-trzeć temu, co im miał wkrótce panować. Jednego widzieli już i słyszeli, drugiego dopiero teraz zobaczyli, jak się im mignął przed oczyma. Ten ze swą rycerską butą i młodzieńczem weselem lepiej im do serca przypadał.

Na widok młodego chłopaka z rozwianemi włosy, z podniesioną głową, ręką w bok pędzącego na koniu dzielnie, lecia się im rozśmiały. Starym Szczodrego przypomnial, którego gdy nie stało, wielu po nim wzdychało. Choć po nim krwawe wspomnienia w pamięci były, wielu z tych co z nim wojowali na Węgrzech i na Rusi, miłowali go jako rycerza, a ludzi prostego choć mówić nie śmiał, powszechne było mniemanie, iż za swą miłość dla ubogich możni go zgubili.

Ludzie rycersey co za króla Władysława najczęściej nie z nim, ale z Sicciechem chodzić musieli na wyprawy, radzi byli dostać króla mężnego za wodza, a pozbyć się dumnego wojewody.

O Zbigniewie już wiadano, że rozumnym był, ale do włóczni, konia i oręża niezdarnym.

Wojslaw, ochmistrz pański na spotkanie Bolka wyszedł kwaśny pomrukując.

— Drudzy tu sobie między ziemiany jednają ludzi, a wasza miłość w lesie — rzekł do zsiadającego.

— Bo ja na słowa ludzi nie łowię, a wolę się na wojnie z niemi serca dorabiać! — zawołał Bolko i rozśmiał się wesoło.

VIII.

Dzień zrazu wstał mglisty, lecz wnet srebrna owa zasłona, owe wilgotne rąbki w które był owity, opadać zaczęły i słońce podniosło się jasne, wesole, jakby radując widowisku, które miało przed sobą.

Jak świt wszysej poczęli przyodziewać najpiękniejsze zbroje, najkraśniejsze szaty; kładł na siebie każdy co miał najlepszego, czeladź występowała strojna, a od obozu na podzamczu do grodu na wyżynie dochodziło niruczenie wesole jakby roju pszczół, co w ulu gospodarował.

Aż zabrzmiał kościelny dzwonek, wołając do Boga przed ołtarz po błogosławieństwo. Choć niewielka naówczas katedra płocka i trzeciej części zgromadzonych nie mogła pomieścić, szli wszysej,

aby naprzeciw drzwi stanawszy choć zdala nabożeństwa słuchać.

I król też chory przez dwóch podkomorzych wiedziony, co dawno nie bywało, w odświętnych szatach szedł do kościoła z twarzą wychudłą i bladą, ręką drżącą śląc pozdrowienia tym, co się zbiegali przypatrzeć mu i pokłonić.

Po drodze parę razy stanął przemawiając do wojewodów i władyków po słów kilka — ale na dłuższą mowę tchu mu nie stawało. Poruszony był wielec.

Za nim szła w orszaku okazałym dworzan swoich królowa z córkami, z niewiasty swojemi, w przepychu wielkim, którym się lubiła pysznić, w sukni złocistej, w łańcuchach i pasie sadzonym, głowę unosząc dumnie, jakby mówić chciała — krwi jestem cesarskiej!

Patrzała z góry na kłaniających się ziemian, co najmłodszym tylko uśmiechając.

Za nią szedł wojewoda wielki, Sieciech we zbroi złoconej, sukni szkarłatem podbitej, co wielu złośliwych oczy zwracało. Witał on pogodnym czołem przyjaciół swych, innych widzieć nie chcąc.

Dałój ciągnął Zbigniew, który też wspaniale się przyodził a cudacko, ogromnemi pióry ozdobwszy kółpak i miecz sobie przywiesiwszy, który mu zawadzał. Czatował on zawczasu na pochód aby ubiedz Bolka i zająć pierwsze miejsce swe,

które starszemu należało, obawiał się bowiem, aby młodszy go nie uprzedził. — Ten o tém nie myślał, stanął za Zbigniewem z wesołą twarzą we zbroi lśniącej, po rycersku przybrany, piękny, pewien siebie i niedbający o to, jakie mu się miejsce dostało. Młodziuchne, ogorzale lice patrzyło wesoło, trochę dumnie, lecz dobrotliwie zarazem. Wszyscy za nim wiedli oczyma.

Gdy król, którego biskup Filip z krzyżem i wodą święconą u drzwi kościelnych przyjmował wszedł na przygotowane dla siebie siedzenie, obok którego królowa niższy tron zasiadła, gdy Zbigniew i Bolko stanęli po prawej i lewej ręce ojca, a wojewoda wielki za nim jakby na straży: dalej dokola dwór i co najprzedniejsza starszyzna — arcybiskup Marcin wyszedł w kapie naprzód pieśń do Ducha Świętego zanucić, która mszę poprzedziła. Sam on też tego dnia w asysteneyi dwóch pasterzy krakowskiego i poznańskiego ofiarę świętą odprawiał, w czasie której królowi niesiono do pocałowania ewangelję, a rycerstwo mieczów dobyło wedle obyczaju, który niedawno wprowadzony był w polskim kościele.

Zatém po mszy świętej pieśń jeszcze zanuciono i psalm, a po błogosławieństwie pacyfikałem, król, królowa, królewicze w tym samym porządku jak szli na gród wracali. — Nie przyjmowano u stołów na zamku rano aby czasu nie tracić, każdy wprzód u siebie zjadł co miał, i wprost do wiel-

kiej izby radnej gromadzić się poczęto, której drzwi stały otworem, bo się w niej, w sieni i pod-sieniach ledwie mogła starszyzna pomieścić.

Izba ta była tak skromna i niepoczesna, jak wszystkie w owych czasach, na ten dzień tylko zielonością ją posypano i gałęzmi przy ścianach przybrano.

Dla króla tron suknem czerwonym obity stał w głębi, a obok niego takiż sam, nienstępujący mu wielkością dla arcybiskupa gnieźnieńskiego, który z królem dzielił władzę. Szeregiem za nim zasiadali inni biskupi, od krakowskiego poczynając z jednej strony, z drugiej za królem świeccy panowie, na których czele Siecech się nieścił.

U stopni tronu królewskiego Zbigniew i Bolko stali, rzucając na się skośne wejrzenia. Na nich wszystkie oczy były zwrócone.

Młodszy, ulubieniec ojcowski i tak jak zawsze miał serca za sobą, powierzchowność sama mówiła za nim; dumna i wstręt obudzająca postawa niezgrabnego Zbigniewa razila ziemian. — Szeptano, przypatrując się to i owo, starszy syn królewski, władyków nabawił strachem — patrzył dziko, uśmiechał się złośliwie.

Nie wróżono po nim nic dobrego. Niezgrabna owa postać jaką miał w klasztorze pod ciasną sutanną, strojem rycerskim zmienić się nie dała. Zbroja na nim leżała jak pożyczana, trzymał się nieco przygarbiony, włos odrosły spadał mu ko-

smykami prostemi jak przylepiony na ramiona; blada i nalana twarz miała wyraz chytry i fałszywy. Na Bolku suknie i blachy były jak ulane, włos obfity w pierścieniach ciemnych wił się na ramionach, lice otwarte, jasne, pałało ogniem i świeciło weselem.

Oba jeszcze nie mieli rycerskich pasów, tylko proste do mieczów przepaski.

Ziemiańskie spoglądając mówili sobie, że jeden się do zbroi rodził, drugiemu lepiej księcia suknia by przystała, i cicho dawano mu Klechy przewisko.

Młodsze duchowieństwo takżeby się doń nie bardzo chętnie przyznało, bo na twarzy rysów grubych, ust oddętych, wykrzywionej namiętnie, niespokojnie się poruszającej, więcej namiętności było niż łagodności i pokory.

Na króla patrząc, którego dwu komorników pod ręce w wiodło i usadowiło, litość brała, tak blady był i drżący, a ręce mu dygotały niespokojnie, gdy na sobie kożuch poprawiał. Oczyma potem powiódł po gromadzie swój, uśmiechając się i zdając się prosić, aby mu miłość wyświadczone.

Głębokie milczenie panowało w izbie natłoczonej, w której tylko najprzedniejsi miejsca zajęli i wiekiem najstarsi. Dalej poza nimi cisnęła się młodzież i domownicy niektórzy, a ze drzwi bo-

cznych wyglądały jedna nad drugą ciekawe głowy dworu królowej.

Rozpoczął areybiskup modlitwę łacińską, wzywając błogosławieństwa Bożego, przeżegnał i wszyscy przeżegnali się schylając głowy, nastało milczenie. Król mówić miał, ale mu spalone usta odmawiały posłuszeństwa i kubek z wodą za prawną podać musiano dla orzeźwienia.

Zwrócił się naprzód ku duchownym.

— Ojcowie miłościwi — począł głosem cichym, — ziemianie i władcy mili, mówcie z czem do mnie przybywacie, abym waszój prośbie uczynił za-
dość — jeśli mogę.

Areybiskup skłonił głowę.

— Miłościwy królu — rzekł głosem pewnym i śmiałym — przyszliśmy do ciebie, aby schorzałemu pociechę i ulgę przynieść a spójność na najdłuższe lata: ażebyś o ziemie swe nie trwożył się, ani o przyszłe losy, ażali nie byłoby dobrém, spadek zawczasu synom wyznaczyć, sporom zapobiegając, sobie pozostawiwszy ziemie i grody jakie się zda miłości waszój, na młodych zdać czuwanie.

Nie dla czego innego pragniemy tego, tylko, abyś na duszy był spokojnym, siły mógł za przyczyną patronów naszych i orędowników odzyskać, a żyć nam jak najdłużej. Modlić się będziemy wszyscy do Boga miłościwego, do matki jego, orędowniczki naszój, do świętych Wojciecha, Wa-

clawa i miłego patrona waszego Idziego świętego...

Szmer potakujący duchowieństwa wtórował arcybiskupowi skłonili głowy biskupi wszyscy, wielu ziemian podniosło ręce pochwalając zgodnie, król pochylił głowę i rzekł nieco ośmielonym głosem :

— Dobrém mi się widzi, co mówicie ojcze mój, ja też tak myślę i pragnę tego. — Mówcie, radźcie w imię Boże.

Wysunął się Strzepa, pokłonił królowi, oczy nań zewsząd obrócono. Nie wszyscy znali go, poczęto pytać co za jeden był i szmer się rozszedł po izbie.

— Miłościwy królu—rzekł nieco chrypliwie—dobrém to jest na oko, ale i niedobrém się stać może. Po co masz z rąk swych władzę za żywota wypuszczać? Czy to nam z tobą źle, albo ziemie nasze cierpią na tém? Nieprzyjaciół z pomocą Bożą odpieramy na każdym kroku lęka się nas, w pokoju gospodarczym, niczego nam nie brak ino byś nam, miłościwy panie zdrów był i jak najdłużej panował!

Przyjdzie kres od Boga wyznaczony, powoła Bóg dzieci twe, czas naówczas będzie, aby objęły co im przypadnie. Poco sobie ręce wiązać za życia i zrzekać się tego co Bóg zlecił?

Mówię to z serca wam oddanego miłościwy

władcyko nasz, wszysey którzy cię miłują, nie radzi zmieniać pana.

Za Strzepą wnet niektórzy potakiwać zaczęli jak wprzód arcybiskupowi.

— Panuj nam! króluj nam!— odzywali się— dali Bóg przyjdzie czas na twe syny. wezmą co im uznaczono... Żyj nam panie! Żyj! —

Rękę do piersi przykładając poczał król dziękować. Powoli szmer i wołanie przycichły.

— Jeżeli miłujecie mnie,— rzekł Władysław,— oszczędźcież sił moich, bom nie duży, reszty dni poświęcić chcę Bogu, abym u niego na lepsze zarobił królestwo. Policzone są dni moje, myśl słabnie, ręka drży, przez litość mi zastępców dać trzeba, abym o królestwo był bezpiecznym.

Odezwał się ktoś z tłumu.

— Czuwa nad niem pan wojewoda nasz!

— I czuwać nie przestanie,— rzekł król obracając się ku niemu, — ja też patrzeć się, cieszyć i radzić będę, a młodsi niech próbują sił swoich; niech każdy z nich weźmie część mu przeznaczoną, aby więcej nie pożądał, a zgoda święta między braćmi panowała.

Zuown w gromadzie potakiwać głośno poczęto.

— Czyń, miłościwy królu, jakoś postanowił, czyń! — odezwał się arcybiskup. Duchowieństwo całe powstało i jawnie oświadczając się za królem, przechyliło szalę.

Strzepa i ci co z nim szli, zamilknąć musieli, poglądali po sobie frasobliwi i strwożeni.

Król się do synów obrócił.

— Chceę, rzekł, abyście poprzysięgli przed Bogiem, przed kapłanami jego, ojcami naszymi duchownymi, w obec tych oto ziemian, iż we zgodzie i pokoju mieszkać będziecie.

Zbigniew i Bolko, powołani zbliżyli się do ucałowania ręki ojca i złożenia przysięgi, którą arcybiskup miał przyjąć. naprzód słowy serdecznemi do zachowania jej pobudzając. Zaczém począł zwolna słowa wymawiać, które za nim powtarzali, i od kapelana wzięwszy księgę ewangelij dał im ją do pocalowania. Przykląkł pobożnie Bolko. pochylił się Zbigniew, na twarzy pierwszego widać było uczucie i wzruszenie, na drugim radość zwyciężką.

Znowu począł mówić król, do zgody namawiając i podnosząc świętość przysięgi, a obróciwszy się do arcybiskupa żądał, aby to w księgach zapisanem zostało, co się dnia tego postanowi. Zbigniewowi wolą króla wyznaczone było Gniezno i Poznań, a po zgonie króla Mazowsze (ziemie które składały dyecę o. Marcina); Bolkowi przypadł Kraków, Sandomierz i Wrocław, to jest przedniejsza część królestwa.

Władysław kończył głosem drżącym, a zwróciwszy się do Bolka ze łzami w oczach, w głowę go pocalował i uścisnął.

I podział, i sama ta miłości ojcowskiej oznaka, krew poburzyły w Zbigniewie, który bladł i kraśniał, oczy spuścił upokorzony, nie rzekł nie, do ręki ani do kolan ojca się nie zbliżył, — stał słupem martwym. Bolko upadł na kolana i nogi króla całował.

Milczenie dziwne panowało w izbie — ludzie spoglądali po sobie. Nie wszyscy byli radzi z podziału, osobiście ci, co się Zbigniewowi dostali. Nierycerskiemu człowiekowi przypadła obrona granic najbardziej zagrożonych; a i ów wzrok przezywający, wileczy przyszłych poddanych napełniał trwogą. Wszystko więc na oko było dokonaniem, gdy wielki wojewoda, który na pozór obojętnie słuchać się zdawał, podniósł się — oczy jego druhów zwróciły się nań ciekawie. Wiedziano, że on tu w istocie panem był, królem władał i posądzano go nawet, że w swoich widokach podział ten zgotować musiał, nie dając znać po sobie.

— Miłościwy królu, — głosem pełnym i swobodnym począł wojewoda — gdyście rozporządzili królestwem swem wedle woli swój, słudze wiernemu słowo pozwólcie powiedzieć

Wiele się uczyniło a nie dosyć.

Było to państwo oddawna nierozdzielne, więc choćby teraz dwu panów mieć miało, jeden z nich głową być musi, przy jednym zwierzchnia moc zostanie. Któryż z dwu ma ją mieć?

Król spojrzał nań oczyma błagającymi litości.

Ciosem dlań było to pytanie, zmuszające do wybrania jednego, do upośledzenia którego z synów. Długo czekano, aby się Władysław zebrał na odpowiedź.

— Zaprawdę — rzekł król nieśmialo, wahając się. — Stary jestem, niedołężny, widzę co dziś jest, co jutro się stanie odgadnąć nie mogę. Dziecę ziemie, ale wybierać jednego z dwu, gdy oba mi równo mili, nie chcę i nie mogę. Któż wie jak Bóg z niemi postanowi? Któremu z nich da moc? — Jedno rzeknę, po mej śmierci wybierzcie sobie tego, który dzielniejszym rycerzem, obrońcą i opiekunem ziem tych będzie. Wam to zostawiam.

Złożył ręce król i zdawał się modlić.

— Gdyby się Bogu podobalo skarać mnie, a obu im niepobłogosławić; gdyby się waśnili z sobą, z nieprzyjaciół się wiązali na zgubę państwa, niech odpadną od działów, niech im rządy będą odebrane, niech — król dla lez dokończyć nie mógł.

W zgromadzeniu gwar powstał cichy i szepty. Widziano, że króla siły się wyczerpały, że wszystko już postanowione było, — skończone, ruszać się poczynali ku drzwiom ziemianie. Arcybiskup łaską uderzył o ziemię.

— Na świadectwo wzywam was bracia moi, jaka jest wola króla pana naszego — a teraz podziękujmy Bogu i jemu.

Zawolano — żyj a żyj! — a drudzy z czeska

się odezwali — Boże zmiłuj się nad nami! — Władysław mało co słyszał, tak był poruszony dokonaniem wielkiego dzieła.

Komornicy znów nadejść musieli i ująć go, aby do kościoła na hymn dziękczynny prowadzić.

Wkrótce potem co żyło, cisnęło się na zamek, gdzie stoły otwarte czekały. Bolko poszedł z ojcem do jego izby, bo stary spoczynku potrzebował.

Zbigniew zniknął.

Zamiast przyjmować powinszowania i pokłony ziemian, którzy do jego dzielnicy należeli, — poszedł za skinieniem Greta, która z za drzwi znak mu dała, iż mówić z nim ehee pilno. Śmiejąc się już przedarł się do komnaty Niemki, do której dobrze znał drogę. Czekala nań już strojna, niecierpliwa, nauczona pewnie co mówić miała.

— Winszować waszój miłości! — rzekła z pokłonem przesadzonej pokory szydersko — a! winszować!

— Dali mi gorszy ochłap kraj — odezwał się gniewliwie Zbigniew, — tak... ale ja cały mieć będę. Bolko sobie próżno tuszy, że z Krakowem nademną przewagę otrzyma!!

— Któż to wie? — odparła żywo Greta. — Wszystko być może, jeżeli wy sobie tak poczynać będziecie jak dziś nie po królewsku, a jak dziecię co się nadąsa. Przez cały czas patrzyliśmy z królową na was, jawnie srożyliście się na brata,

rzucaliście nań oczyma, jakbyście go wyzywali. Toć mądra rzecz nieprzyjacielowi zawczasu ozuajmywać — strzeż się a pilnuj, bo o to rzucę się na cię!!

Uśmiechnęła się biała panna i uderzyła w czoło.

— Kto chce podejść a obalić — rzekła — ten całuje i ściska, droży się i zbliża, aby tajemnice posiadał, a zemstę miał łatwą.

Zdziwiony Zbigniew spojrział na nią z pod brwi zachmurzonych.

— O! ty rozumna panno! — zawołał, — jakoż to wymądrowała!

— Widzi mi się niezgorzēj — odezwała się Greta z uśmiechem — czyńcież zgodę, a pospieszajcie poki czas, inaczěj wy nuu nie sprostacie. My go z dzieciństwa lepiej znamy, mężny jest i silny, podstępem tylko a chytrością wziąć go można...

Uśmiechnął się królewicz i Niemkę ująwszy w pól pocałował w usta, które tak dobrą radę dawały.

— Nie takli! — spytała — nie mamli ja słuszności?

— Tak uczynię! — odparł Zbigniew, — rozumne słowa wasze.

Szeptać coś potēm poczęli pocichu, ale już nie o Bolku i sprawach wielkich, zapewne o sobie. Greta się czerwieniła, gniewała, opierała zra-

zu, spuszczała oczy, uległa naostatku, podali sobie ręce i Zbigniewa twarz zajaśniała weselem.

Aż do komnaty ustronnej dochodził gwar i śmiechy biesiadujących. — Niemka nastawała, aby szedł na swe miejsce Zbigniew i odegnęła go od siebie. Królewicz pospieszył od niej do króla.

Tu zastał zgromadzonych arcybiskupa, wojewodę i Bolka około zmżonego starca, któremu podczaszy wino podawał, aby nieco siły pokrzepił. W progu już Zbigniew rozjaśnił czoło, przybrał wesołą twarz. Szedł naprzód ojcu dziękować, który go pocałował w głowę, potem arcybiskupowi poddając się jego opiece i zwierzchnictwu i prosząc o radę, nakoniec zbliżył się do Bolka stojącego na uboczu, wyciągnął doń rękę i uściśnął go na pozór gorąco i serdecznie.

Wszystko to wykonał królewicz zrećznie i nie dając poznać po sobie fałszu. Bolko choć wstręt miał do brata i od Santoka się doń nie zbliżał, łatwo dając się njać sercem, zapomniał przeszłości, oddał uścisk i rad był, że do zgody wracali.

— Miłujcie się a wspomagajcie nawzajem — rzekł arcybiskup — obu wam z tém będzie bezpieczniej, i dla ziem waszych lepij. Niech braterskiemu przymierzui Bóg błogosławi!

Sieciech spojrział zdala na te objawy czułości, twarz mu się nieco skrzywiła, lecz wprędce, gdy król nań oczy zwrócił, uśmiechał się już, zdając uradowany.

Bolko, którego równie łatwo było pozyskać jak rozdrażnić, prędko we wszystkim nad miarę, gorący, poddający się pierwszemu wrażeniu — pochwycił Zbigniewa pod rękę i razem z nim wyszedł z komnat ojcowskich.

W podwórzu pełno było ludu, tłumy wszędzie. Usiedli na ławie w przedsieniu, aby być sami.

Zbigniew pospieszył z zapewnieniami pojednania.

— Od tego dnia rzekł, będę ci druhem i bratem wiernym. Chcę się od ciebie uczyć rycerskiego rzemiosła, choć młodszym jesteś. Razem iść będziemy, razem nieprzyjaciół wojować, nie jeden bez drugiego nie czynić.

Bolko go uściskał powtórnie i począł z uczuciem gorącym.

— Przysięgam ci, dochowam wiary, znajdziesz we mnie brata i przyjaciela. Zdrady ani serce, ni usta moje nie znają. Co czynię to otwarcie i szczerze.

Zbigniewowi na słowach i zaręczeniach wymownych nie zbywało, ponowił poręki i oświadczenia miłości. Mówili z sobą serdecznie, a Bolko, który wylewał się łatwo, po krótkiej rozmowie czuł się z nim jak ze starym druhem zaufanym.

— Pospieszyles się bracie — rzekł po chwili — i jużś sobie ładną Niemkę pozyskał z dworu królowej. Mówią o tém wszyscy!

Zbigniew się nie zapierał, śmiał się tryumfująco.

— Gładkie liczko cię uwiodło, mówił młodszy, lecz gdybyś mnie chciał posłuchać, tak rychło jakęś ją wziął, radziłbym porzucić!

— Dlaczego? spytał Zbigniew.

— Dziewczyzna płocha i przewrotna — mówił Bolko. — Słyszałem od ludzi, że już miłośników miała wielu, a nikt cały od niej nie wyszedł. Zła jest jak żmija, choć jak niewinne dziecko wygląda. Najpierwsza rzecz, którą się będzie starała uczynić, że nas z sobą zwaśnie zełce, bo mnie nie cierpi i pomściłaby się rada.

— Za co? wtrącił Zbigniew.

Bolko się nie chciał tłumaczyć.

— A! babskie sprawy — odparł, — nierycerska rzecz tём się zaprzatać.

— Nie boję się też ja lada dziewczki — rzekł Zbigniew, — bo nad sobą kądzieli panować nie dam. Musi ona słuchać mnie. Mam rozum swój i radzić sobie nie dam długowlosemu stworzeniu!

A wam to niewiasty nie do smaku? zapytał.

— Nie chcę ich znać! — odparł Bolko. — Z nie-mi człek mięknie, a nam rycerzami być potrzeba.

Uśmiechnął się starszy.

— Ja trochę inną mam naturę — rzekł, — bawią mnie te łątki! Może dlatego, że ich przez długi czas zamknięty w klasztorze nie widywał, każda mi miłą i wonną jak kwiatuszek.

Skrzywił się Bolko.

— Toćbyś sobie już świeższego kwiatu dobrać powinien— rzekł,— Greta się już z wielą знаła, a przez nią królowa z wami czynić będzie co zechce, bo jej do tego zażywa jak rybak złotego robaczka na wędec.

Starszy głową potrząsnął.

— Ze mnie gruba ryba, na wędc mnie nie wziąć — przemówił usnuiechnięty. — Ani ona, ani królowa, ani nikt nie uczyni ze mną tylko to, co ja zechcę. Nie weźmie mnie ani niewiasta, ani chłopiec, ani nawet duchowny żaden! Rycerzem jak wy nie jestem, ale się z książek trochę rozumu nauczyłem i wiem jako ludzie źli są, a jako z nimi chytrym być trzeba.

Zdradził się nieco królewicz tą mową, lecz Bolko mało zważał na nią.

— Przebaczone ci, że rycerzem nie jesteś, — rzekł,— boś w sutannie i klasztorze nie mógł nim zostać — ale, teraz! — teraz bracie rycerzem musisz być, nie chceszli wpaść w ręce jakiego wojewody i mir stracić u ziemian twoich. Siłę masz, na męctwie ci nie zbywa — poczynaj a śmiało.

Zbigniew chytrze mu dziękował.

Ujęli się więc znowu za ręce, i aby okazać wszystkim jak wielką miłość ku sobie mieli, poszli razem ku stołom, około których ziemianie i władcy zasiadali.

Na widok przybywających, niektórzy się pod-

nosić zaczęli, witając ich i pozdrawiając, inni szli cisnąć się do ręki pańskiej. Gmieźnianie i Mazury, których było najwięcej, przyszłego pana w Zbigniewie przyjmowali, zalecając mu się ze służbami swemi.—Krakowianie i Szlązacy ku Bolkowi się ściągali, nśmiechali doń, radzi wyborowi, bo słył jnż jako rycerz dzielny, a tych naówczas milowano najwięcej.

Gdy szli tak razem poza ławami i stoły, zdala niebieskie oczy Greta szydersko i zwycięzko się śmiały, widząc jak jej rozkazy posłusznie i prędko spełniano. Radowała się, nie dając tego po sobie poznać królowa.

— Bolko zawsze porywczym był i bez rozeznania, mówiła do swęj ulubienicy — ten niezgrabny parobek niepozorny, chytrzejszy od niego zawojuje go i pokona.

Mijali Marka, gdy zbyt otwarty a szczery Bolko, szepnął bratn.

— I tego nłubienca waszego radziłbym precz wygnać!

— Co macie przeciw niemu?—zapytał ciekawie starszy.

— Patrzę i słucham, jak to zwyczajnie na dworze — mówił Bolko — widzę, że rycerskiej sprawy dno ma na języku, a w ręku niewiele; słyszę, że potajemnie się z Sieciechem zna, po nocach do niego chodzi i na was donosi.

Zbigniew niedowierzająco ruszył głową.

— Zli ludzie plotą nań, — rzekł.

— A pocóżby im się to zdało, wszak na drodze nie stoi nikomu. Człek to niewiadomego rodu, przybłąda chytry, który tu miejsca nie zagrzeje, a obłowiwszy się uciecze. Tak o nim ludzie prawią, miejcie się od niego na pieczy. — Królewicz słuchał i przestroga go poruszyła.

— Bracie, odparł stając — coście się uwzięli poodpędzać odenmie co najmilsze mi i najpotrzebniejsze. Przed chwilą Gretę mi odradzaliście, aż i Marka. Ten łotr służy mi jako pies wiernie.

— I jak sobaka cię potem pokąsa — dokończył Bolko. — Znajdźcie ludzi między sweni Mazurami i Gnieźnianami, osiadłych ojczyców, z tych wybierzcie jednego. Dobrze wam życzę i radzę jak sobie.

— Łotr to jednak dogodny i zręczny, — dodał Zbigniew.

— A no! słyszałem o tém, — odparł młodszy. Mówią, że bez zbroiczki o podartym kaftanie i o jednym bodaj koniu się tu przybłąkał, a dziś już utył, i szat i szkap ma podostatkiem.

Na blazna go trzymać, czemu nie, ale mu ani ucha, ani władzy nie dawajcie.

Zbigniew słuchając rad tych otwartych, z serca płynących zagryzł usta. Zdało mu się, że Bolko młodszy, lekce go sobie waży i ma o nim wyobrażenie niewielkie — przerwał urażony.

— Słuchaj bracie, jeśli ci się zda, żem ja głupi

i ślepy, mylisz się. Widzę ja ludzi na wylot, a przez to, że ich znam i najgorszego się nie boję.

— Jeśliś bezpieczny i czujesz się nim, czyń jak ci lepiej! — rozśmiał się Bolko — Greta się nie obawiasz, Sobiejucha ci na rękę — toć dobrze! przestrzedz nie wadziło. Ja moich chłopców wolę!

— Jam sobie jeszcze drużyny zebrać nie miał czasu — począł Zbigniew. — Sobiejuchę jak psa na postronku trzymać będę, a Gretę... porzucę, gdy mi się uprzykrzy, teraz mi ona miła, bo dziewczka wesola i obrotna, potem!!

Zbigniew pogardliwie ręką rzucił i rozśmiał się.

Bolko mu długo w oczy patrzył.

— Prawda to — rzekł, — żeśmy się inaczej chowali: ja na koniu i w lesie, ty w klasztorze, a no, inną mamy naturę. Ty lubisz zabawiać się choćby z dziewczką i błaznem jak Marek — ja nie. Ja w to wierzę i to kocham, co się nie przejada i nie przykrzy. Bodaj to wojna! bój! rycerstwo! łowy, konie — to życie! Gdy wrogi zagrają, serce mi rośnie, śpiąc roję, że lecę na Pomorców z podniesionym oszczepem... Dzień w domu długi mi jak wiek! — a! bracie, chciałbym być do wielkiego Bolka podobny i granice ziem zatknąć daleko, aby je cesarze i królowie szanowali i drżeli przedemną!

Mówił Bolko z zapalem wielkim, Zbigniew pobladł, — słuchał téj mimowolnej spowiedzi młodzienczej i uląkł się jej.

Bolko postrzegłszy zmienioną twarz Zbigniewa, wstrzymał się nagle.

— Bracie, — dodał — nie lękaj się, na twoją dzielnicę nie nastąpię, gdy zechcesz będę twym wojewodą!

Stań się ty wojownikiem wielkim, a ja za tobą pójdę posłuszny.

Spojrzyj co nam ziemi powydzierano, co nam cesarze zajęchali, co zagarnęli Czesi, co odebrała Ruś, co na Pomorzech odzyskiwać potrzeba; bo ci się ani chrzcić, ani nas panów swych prawych znać nie chcą. Na nas dwu jest dosyć do roboty, a gdyby z grobu powstał Bolko Wielki i Szczodry, oniby chyba podolali temu, co na nas uczynić przypadło!

Słuchał starszy w milczeniu, uląkł się tych myśli zdobywczych, tego zapалу rycerskiego i nie wiedział czém odpowiedzieć na nie.

— Ja, — rzekł zeicha i skromnie — nie chcę nie, jeno mój dział utrzymać i żyć w pokoju.

— W pokoju! — podchwycił Bolko — spytaj czy ci go Pomorcy dadzą? Mężny to lud, niespokojne plemię, srogie, okrutne, przebiegłe ale dobrze z niém, bo nam zgnuśnić nie dadzą; podbić ich potrzeba, nie wiem, krzyżem czy mieczem, nawrócić i zagarnąć, abyśmy morze mieli, brzeg swój i na cały świat drogę! Bez niej tośmy jak obumrowani w więzieniu! — Jeżeli się nie nawrócą, choćby ich wytępić przyszło, morze nam potrzeba

mieć lub nie żyć! Naówczas statki i czołna budować będziemy i z rycerzami pnieć się nowe ziemie zdobywać! w daleki świat!

Mówił, pałały mu oczy, drżał cały, postać jego rozogniona stała się tak piękną, wspaniałą, że Zbigniew małym i słabym uczuł się przy nim. Zazdrość ukąsiła go w serce, usta skrzywiły się niby uśmiechem, a żółć i gorycz uczuł na nich.

— Zdradziłeś się — rzekł w duchu, — chce ci się panowania nad światem... Jeden z nas dwu ustąpić musi — ty lub ja.

Bołko otwarcie mówił mu: bądź silnym, panuj, będę ci posłusznym — Zbigniew myślał w sobie: zgin abym się ja wyniósł.

IX.

Po gwarnych dniach wiecowych, wkrótce na na plockim zamku pożądana dla króla nastąpiła cisza. Zbigniew odciągnął do Gniezna, Bolko ruszył do Krakowa i Wrocławia, przy królu jeden Sieciech pozostał, seborzałego starca piastując niemal jak dziecko, a czyniąc z nim jak z dziecięciem, co zapragnął.

Ze dworu królowej w tym czasie znikła Niemka Greta, a Judyta mocno po niej tęskniąc i ręce łamiąc okazywała, jakby wcale nie wiedziała co się z nią stało. Uskarżała się na tę stratę przed królem, a Władysław rzekł, że jako ją dosyć pło-cha zawsze znał, sądzi, iż w wielkiej ludzi gro- madzie co na wiecu byli, któremu w oko wpaść musiała, a ten ją sobie zmówiwszy, pochwycić musiał i uwieść.

Nie było to wszakże tajemnicą dla innych, iż w zwartym orszaku, który Zbigniew z sobą nocą njeżdżając prowadził, znajdowała się pomiędzy dworem niewiasta z twarzą oslonioną, z której młodzież żarty nieprzystojne stroiła, a ona im po niemieccku łając, odpowiadała.

Bolko zebrawszy swą drużynę i część wojska ruszył na pusty i smutny zamek krakowski, na Wawel, który od śmierci królowej matki stał zupełnie opuszczony. Tu wspomnienia Bolka Szczodrego żywe jeszcze, niedawno przelana krew męczennika, ludzie obcy i przyjaźniejsi swojemu wojewodzie Sieciechowi, niedługo dali pobyc królewiczowi.

Pobłąkawszy się ze swą drużyną około Prądnika, Mogiły, Bielnickich lasów, Stankonia, obejrzawszy pod zamkiem nad Rudawą kościół, który ojciec założył; u ludzi znajdując twarze chmurne, rycerstwo jakieś zdziczałe i niepocho-pne, by się garnęło ku niemu — wołał się Bolko przesiedlić do Wrocławia i tam przesiadywać. Magnusowi i tym co się koło niego gromadzili, więcej mógł ufać, niż Krakowianom Sieciechowi oddanym.

Na dzielnice swe poszedłszy królewicze, żyli jako z nich któremu przystało. Zbigniewowi Pomorce do czasu spokój dali i granic nie napastowali, dawnymi wyprawami popłoszeni.

Nadeszła zima, wiosna, i tak znowu Sieciech

cierpliwie czekał zręczności, aby myśli swęj dokonać bezpiecznie. Nie wiodło mu się. Brakło powodów do zaczepki, do napaści, do zwaśnienia. Królowa się niecierpliwiła zwłoką, trzeba było poczynić coś, aby koniec przyspieszyć.

Pod okiem króla spiskować nie mógł tak swobodnie; duchowieństwo było mu w znacznej części nieprzyjane, zjechał więc do dziedzicznego Sieciechowa swojego, gdzie panem był i na przyjaciół dokoła mógł liczyć. We wszystkich też ziemiach miał sojuszników wiernych dotąd, którzy mu o wszystkiem donosili i czekali rozkazów.

Był już Sieciechów naówczas grodem warownym, na którym pańskie dworce i opactwo Benedyktynów na jednem się niemal podwórzu mieściły. Od Chrobrego czasów mnożyła się tu chwała Boża pod osłoną grodziska mocnego, które pokój zabezpieczało. Sieciech też dla własnego bezpieczeństwa umocował był jeszcze zameczysko nad Wisłą, wałami je silniejszymi obsypał, tynami potężnymi otoczył i trzymał tu wybraną załogę, bo choć w kraju panem był, knując sam zdradę, wrogów się lękał i pokoju nie miał.

Budowy opactwa i zamkowe graniczyły z sobą; Sieciech królewskie nadania dla Benedyktynów pomnożywszy, obdarzając klasztor ciągle, z opatem i przełożonemi będąc w związku statecznym, przez zakonników wiele mógł wiedzieć

i działać. Mnisi byli mu przychylni, żyjąc niemal chlebem jego.

Miał Sieciech jak naówczas wielu możnych panów, żonę z Rusi, kniazia cielecy, która mu znaczne wniosła bogactwa. Tę na zamku swym cho-
wał i syna wyrosłka, który przy matce i pod opieką księży rosł, zawczas się przysposabia-
jąc nauką wszelką do służby i wojny. Jakiś on
miał mu zgotować.

Kształcono go na rycerza zarazem i na czło-
wieka, coby drugim rozkazywać umiał.

Dwór prawie królewski był w Sieciechowie, szczególnież z przedniejszych ludzi wojennych złożony, których wojewoda rad sobie do boku do-
bierał. Topory, do których Sieciech się liczył, rozrodzeni byli i prastarzy w tym kraju, mało z którym rodem władków i ziemian możniejszych nie spowinowaceni. Wszysey oni, jak to naówczas obyczajem i prawem było, za ręce się trzymali, a kto się do krwi liczył, musiał ze swemi iść na zawołanie wszelkie. Sieciech swojego rodu był naówczas głową najstarszą i naczelnym wodzem; słuchali go wszyscy powinowaci, pokrewni, poddrużeni. Nie było grodu nie tylko w krakowskiem, w sandomirskiem, na Szlązku, nawet w Mazowszu w gnieźnieńskim, gdzieby z ręki Sieciecha nie siedział starosta, albo tysiącnik z pułkiem, albo ktoś znaczny, który sprawy jego pilnował i na skinienie był gotowym.

Gdzie, jak we Wrocławiu, namiestnika miał nieprzyjacielem, dziesięciu około niego kupionych drnhów na straży stawil.

W Płocku siedział ten co się jeszcze królem nazywał, ale w Sieciechowie wojewoda królował na całą ziemię wyciągając ręce, niebardzo zważając na młodych panów, którym bujać dawał do czasu.

Patrzył zdala co robili. Gdy Bolko zasiadziawszy się w krakowskim i na Szlązku, poczał sobie coraz bardziej jednać ludzi i swobodniej poczynać, donoszono o tém wojewodzie, i dłużej już ścierpieć tego Sieciech nie chciał. Młody król-wiecz groźnym się stawał.

Król chorzał i słabł coraz bardziej, trzeba było coś począc i kości rzucić, nię czekając dłużej.

Przybył w tój myśli do Sieciechowa wojewoda, przez posły tajemnie powoławszy zaufanych ku sobie.

Wieczorem dnia letniego, gdy Sieciech na zamku sam jeszcze był, a stęskniona po nim żona frasowała się przyjmując go, iż przybył jěj ponnry, nie przyniosłszy z sobą do domu wesela, oznajmiono Strzepę, który był prawą ręką wojewody.

Ów Strzepa wyrósł z niego, jenn winien był wszystko, lecz też szyję za niego dać był gotów. A byłto człek co się niczego nie wzdrygał, ani pokłonić i uniżyć, ani porwać i zabić, ani zdradliwie zasiąść. Takim zawsze był, jakim go pan

mieć chciał. Dal mu Sieciech siostrę w młazeństwo, majątności z nią, a do nich obiecywał jeszcze więcej. Siostra ta wprawdzie nie młodą już była, twarzy nie pięknej, humoru nie miłego, ale ona go wiązała z Sieciechem, a wojewoda panować miał i kraj cały pod siebie zagarnąć.

Zdawna to już obmyślanem było, jako i to, że żonę swą rzucić miał, aby wdowę po królu, siostrę cesarską poślubić.

Gdy Strzepa przybył, choć doma wszystkich Sieciech zdal się być pewnym, wnet z izby precz wyszli na wał nad Wisłę, aby się tam naradzali swobodniej.

Strzepa choć bratni, jak panu się do kolan kłaniał. Sieciech dumny już się czując niemal królem holdy te jak należne od niego przyjmował.

— Strzepa,— odezwał się na wały wyszedłszy i po okolicy się z nich rozglądając — czas nadszedł — pora co poczynąć.

— Myśmy też pogotowi — odparł przybyły,— rozkazujcie co czynić mamy.

— Zbigniewa się nie lękam — poczał wojewoda — Bólka się pozbyć potrzeba. Rośnie, męźnieje i strasznym stać się może. Porywezy i zapalezywy jest, pójdzie z nim łatwo.

Zdawali się naradzać patrząc sobie w oczy, aż Strzepa się odezwał.

— Cóż! — ludzi nam nasadzić, gdy na łowach będzie — krótka sprawa...

Mówił zimno i obojętnie, jakby o małą rzecz chodziło.

— Bez ludzi się nie obejdzie,—odparł Sieciech—niełatwo mu podolać. Drużynę z sobą wodzi nieodstępna. Ludzie języki długie mają, wyda się zdrada i rzuca ją na mnie. Nie można.

— Lepiej wiecie jak czynić — przerwał Strzepa,—przykazujcie. Zrobi się, jak zechcecie.

Wojewoda obejrzawszy się, zbliżył się doń, jakby tu nawet gdzie byli sami i żadna żywa dusza dookoła się nie okazywała, nie czuł się jeszcze bezpiecznym, lękał podsłuchania i zdrady.

— Bolka na Czechów wyprawimy—rzekł. Granica tam nie spi, najężdżają ją ciągle, król na nas czyha. Nie brak powodu do wyprawy. Puścimy posłuchy, że na nas chcą zrobić wycieczkę, Bolko pójdzie otoczony naszeni, pójdiesz i ty z nim.

— Pójdę! — rzekł krótko Strzepa.

— Weźmiesz co najpewniejszych, Halkę, Strzegonia, Zuźlę, Zaboja — kogo wybierzesz. W lasach czeskich napotkacie pewnie rabusiów gromadę jaką. Bolko się zapędzi za nią — wówczas wasza rzecz, żeby zginął. Nie powie nikt, aby z ręki naszłej, na to Czechy są.

Strzepa pomyślał nieco.

— Stanie się jako postanowicie,—rzekł. Trzeba będzie jednak oderwać go od drużyny. Chłopcy

młode, zażarte w boju, czujne i na krok go nie odstepują.

— Bólko gdy zoczy nieprzyjaciela, nie go nie strzyma — mówił Siciech. — Wasza rzecz odwrócić drużynę i rozerwać ją... Gdy się sam jeden zapędzi — w lasach. Któż wie jak zginąć może? Czechów nasadzić.

— Czechów nam nie trzeba — odparł chmurno Strzepa, — zasadzkę uczynimy pewną. Pomówcie jeno i z innemi, abym sam nie był.

Zwołałem ich wszystkich — cicho rzekł wojewoda, — z tanitami wszak ci jak z tobą mówić nie chcę. Twoja sprawa zagaić z niemi.

Choć gotów na wszystko, choć posłuszny a rad się wysłużyć szwagrowi, Strzepa wzięwszy rozkaz zadumał się głęboko, nie tał przed sobą, że sprawa ciężką była.

Siciech zbywszy się tego co miał na myśli, wnet urwał rozmowę, zdając na szwagra resztę. Nie rad był mnożyć słowa, w których krew już czuć było.

Nie czyniło mu wstępu dobijać się panowania mordem i zdradą, bo w owych czasach wielu tą drogą do koron i władzy dochodziło, ale słowa nad czyn mu były przykrzejsze. Takie były pojęcia ówczesne religijne, że pobożny Siciech na intencję aby mu się w jego zamiarach powiodło u Benedyktynów zamówił modlitwy, kościołom przyobiegał dary, starał się o relikwie są-

dząc, iż one mu dadzą zwycięstwo. Nie zwierzył się wprawdzie zakonnikom z tém, o co się kusił, ale po wszystkich ich kościołach zakpił na tę intencję nabożeństwa. I modlono się za powodzenie oręża szczodrego wojewody.

Taksamo naówczas święcono na ołtarzach sztylety, które do zabójstw służyć miały i potajemnie o relikwje je ocierano.

Spiskowi wszyscy zjechać mieli tegoż wieczora do Sieciechowa; jakoż przybył wkrótce Strzegoń, po nim Zuźła i Halka, a w końcu Zabój, którego żelaznym nazywano.

Wszyscy zaraz poszli poklon złożyć naczelnemu panu swemu, który okazywał się wielce łaskawym i wesołym: pytał o oddziały wojska, o stan grodów, ale o tém, o czém mówił ze Strzepą, nie wspomniał nikomu. Po królewsku gości i czeladź ich przyjmowano, gospodarz ohocho zabawiał ich, a gdy do wieszery zasiedli sami, bo Juljanna żona Sieciecha nie pokazywała się wedle ruskiego obyczaju, czeladzi precz odejść kazano i wojacy przy dzbanach wina i miodu poufną rozmowę poczęli.

Wszyscy dowódcy ci byli z dziecinnych lat zakuci we zbroje, nawykli do rozlewania krwi i lekceważenia własnego i cudzego życia.

Strzegoń głowę już miał siwą, choć twarz czerstwą i pamiętał Szczodrego kijowską wyprawę. Zuźła młodszy z małego czleka wybrany i na do-

wódcę podniesiony przez Sieciecha, który w nim roztropność ocenił, posłuszny był swemu panu nie pytając co mu przykazywano. Halka, milezący i niepozorny siłacz znany, który ładowny wóz z góry idący za koło powstrzymał i nosić za sobą kazał miecz dwóm ludziom, co go ledwie mogli udźwignąć, do oprawcy był podobny. Czoło miał niskie, brwi nawisłe i twarz szpetną, ale w polu cudów dokazywał.

Zabój, żelaznym zwany, który zbroi nie zrzucał prawie, a nosił tak ciężką, iż drugi upadłby pod nią, choć z Czech pochodził, jak wielu innych naówczas w Polsce osiadłych, już się był całkiem ożenieniem i służbą wcielił między Krakowiany.

Na wszystkich Sieciech jak na Strzepę mógł rachować, tak sądził przynajmniej.

Wojewoda miejsce zajmował w końcu stołu na krześle podniesioném, po monarszemu prawie; po obu stronach jego siedzieli Strzepa, Strzegoń, Zuźła potakujący śmiechami, Halka, który pil i milczał i Zabój z bystrém wejrzeniem, w głowach ich już wino i miód wesole myśli rodziły.

— Cóż? Strzegoń, ty stary, z młodego pana rad jesteś? spytał wojewoda.

— Ja go zdala widzę tylko, dzieciak to jeszcze — odparł siwy wojak, — ale krew dawnych Bolków w nim się odżywa. Jak nie zginie za młodu, wojak z niego dzielny będzie.

Nie bardzo się ta pochwała podobala Sieciechowi, zamilkł i spojrzał pytająco na Zużłę.

Ten się rozśmiał.

— Zawcześnie się rwie i poderwie się jak młody koń, — rzekł głową potrząsając, — nadto gorący.

— Ja też tak myślę, — potwierdził Sieciech.

Halka popatrzał, rękę ogromną namulaną do kubka wyciągnął, białka mu w oczach lysnęły, wąsa potargał. Zabój żelazny rozśmiał się:

— Co tam o tych wróblach gadać, kiedy my orłów mamy, zawołał wskazując na Sieciecha, nie trzeba nam młodych wodzów, dawni starczą.

Wojewoda jakby nie słyszał, odezwał się.

— Król nam coraz gorzej niedomaga, chory jest, życie z niego ucieka, jak na dwu przyjdzie królestwo, rozechwycą je sąsiedzi.

— Dwie głowy, — dodał Strzepa, — to gorzej jak żadna.

Nikt nie przeczył; Sieciech powstał z siedzenia, drudzy za nim ruszyć się chcieli, dał im znak aby pozostali, okiem rzucił na Strzepę, wskazując mu, że pora nadeszła i wyszedł z komnaty.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, obejrzał się Strzepa.

— Między swemi jesteśmy, — odezwał się, — czas podobno co poczynąć! — Sieciech nam panować powinien nie kto inny. Nim król umrze, trzeba jeśli nie obu, jednego się królewicza pozbyć.

Niektórzy głowami potakując ruszyli, wszyscy milczeli.

— Na wyprawie, po lasach i w utarczce,—dodał śmiejąc się, toć to ludzie giną jak muchy.

Żelazny pogladził głowę, dając znak porozumienia.

— Nam co do tego—mruknął,—jak każą by go nie było, to go nie będzie! — co wielkiego!

— Pewnie,—rzekł Halka i w stół uderzył.

— A pewnie! — powtórzył Zuźła.

— My a nie kto pójdziemy z nim na granicę, przeciw Czechom,—począł prędko Strzepa i dodał ciszéj oglądając się wkoło,—trzeba skończyć

Wyrazisty ruch ręki domówił reszty.

Nikt się nie myślał sprzeciwić.

— Jak nasz pan wojewoda zostanie sam,—mówił dalej,—mogę zaręczyć, że każdemu ze starych sług swoich tyle nada ziemi, lasów i osadników, iż go możnym na wiek uczyni. Nie kto z nim panować będzie, tylko my.

— A kiedyż na Czechów pójdziemy? — zapytał pochylając się Zuźła.

— Bardzo prędko! — dodał Strzepa.

Jeden Strzegoń siwy milczał jakoś i nie dawał znaku żadnego, obrócił się ku niemu szwagier Sieciecha.

— A wy, co na to mówicie?

— Ja? — albo to wątpicie że pójdę gdzie mi

każą? — rzekł Strzeżon, — widzicie żem posiwał w służbie, a nigdy od wodza nie odstał.

Rozmowa tak rozpoczęta, coraz się cichszą stawać zaczęła i poufniejszą; wszyscy ponachylali głowy i słuchali Strzepy, który głosem stłumionym niceo, ale wyraźnym opowiadał coś i tłumaczył. Potakiwano głosami i uśmiechami.

— Tymczasem, — głośnieję odezwiał się Strzepa, — trzeba aby tam jeden z naszych przy nim był, któryby mu się w łaski wkupił, radził i prowadził. Chłopiec jak ogień, byle na łowy i wojnę poleci w eimną noe, gotów samotrzée na pół sotka. Sprawą tego kto do niego przystanie, będzie, aby go zaprowadził gdzie potrzeba. No? kto z nas?? Jaby m chętnie poszedł, ale mnie znają żem Sieciechów brat i druh, koso na mnie patrzeć będą. Trzeba takiego na którego by posądzenia nie było z czyjój jest ręki.

— Ej! odezwiał się Zuźła popijając — bić to bić, jam do tego, a ugadywać i prowadzić się nie zdam. Rozmniejszego trzeba.

Halka ogromną swą pięść zaciśniętą wyciągnął i na stole położył na widoku, była to jakby odpowiedź niema, że jego siła cała w pięści się mieściła.

Czech Zabój kiwnął głową.

— Jam gotów, rzekł — a no Magnus mnie dobrze zna, z kim ja chodzę i komu służę, tom się też nie zdal do niczego.

Zostawał Strzegoń stary, słuchający obojętnie; spojrzeli nań.

— Mnie gdzie posła pójde, a co każą zrobię odezwał się krótko.

— I na was nie padnie poszlak żaden — począł Strzepa zwracając się ku niemu. Wyście starzy, pamiętacie Bolka Szczodrego. Młody królewicz słuchać o nim lubi, łatwo się do was przywiąże, pokocha. Jak nie wy to nikt!

Strzegoń, który oczy miał w stół wlepione, nie rzekł ani tak, ani nie. Bębnił po drzewie palcami słuchając jakby się to go nie tyczyło.

— Pójdziecie z waszym oddziałem pod Wrocław, — mówił Strzepa. Staniecie tam z rozkazaniami króla i wielkiego wojewody, przy królewicu. W kilka dni, jak on do wszystkiego ochoczy i prędko, za serce go chwycicie.

Na te słowa Siecech wszedł i rozmowa się zwróciła inaczej.

— Mnie się widzi, — odezwał się do niego Strzepa, — że Strzegonia z pułkiem zawczasu by królewiczowi posłać było potrzeba. Gdy iść przyjdzie będzie ludzi miał pogotowi. Pod Wrocławem wykarnić się łatwo.

Szwagrowie w oczy sobie popatrzeni; Siecech na siwego dowódcę spojrzal i rzekł.

— Tak radzicie!

— Tak my to uradzili spolem — odezwał się

Zużła,—nie ma między nami drugiego, coby królewiczowi mógł lepiej służyć.

To mówiąc rozśmiał się, Sieciech nie dał poznać że rozumiał o co chodziło, i po namyśle dodał.

— Jeżeli Strzegoń gotów — czemu nie! — niech idzie.

— Ja idę gdzie mnie posyłają, nie przebiegam — rzekł Strzegoń,—żołnierz zna wodza tylko, a woli swój nie ma.

— Prawda, ale przeto rozum swój mieć powinien,—wtrącił Strzepa,—aby go pożyczać nie potrzebował.

Zaczęli się śmiać drudzy, Halka swe ogromne pięści, któremi się chwalić lubił, na stole trzymał ciągle, jakby niemi chciał mówić, że one żołnierzowi od rozumu były potrzebniejsze.

Tak się skończyła narada, Sieciech odpuścił swoich, po kubku jeszcze na sen im dając wina z korzeniem gotowanego. Poklonili się wszyscy i rozeszli na nocleg: jedni do dolnej izby na zamku, inni dla gorąca pod swoje namioty, jeden do ojców do klasztoru.

Strzegonia, gdy już miał odchodzić, Strzepa za rękę od kaftana pociągnął i zatrzymał, poczynając mu coś szeptać na ucho. Znali go że na starość skąpym się stał a chciwym do zbierania złota. Zręczny Strzepa ując go chciał zaraz, i odczwał się że na dwór królewiczowski

jadąc wystąpić trzeba było przystojnie, więc łańcuch by się zdał na szyję. Strzeżoń miał wprawdzie stary lecz niepoczesny.

Poszedł pośrednik do wojewody i wprędce powrócił niosąc łańcuch ciężki i piękny, a prócz tego kubek misternej roboty.

Staremu, gdy chował te dary, aż się oczy zaśmiały.

— To wam pan wojewoda przysyła, — rzekł Strzepa, — bez liku — a jutro z podarków dla wszystkich przeznaczonych swoją część odbierzecie. Od was najwięcej zawisło. Trzeba żeby królewicz wam zaufał. Za serce go weźmiecie o bitwach mu opowiadając. Okażecie mu miłość, to ją wam odda w trójnasób, bo taki on jest.

Strzeżoń słuchał uważnie, ale mówił niewiele; zdało się więc nauczycielowi, że mu w pamięć wrazić potrzeba to, czego po nim wymagano. Poprowadził go z sobą na wały, a że noc piękna była, księżyc przyświecał, skwar ustał, przechadzali się jeszcze.

— Jako wasz druh, ostrzedz was muszę, — mówił Strzepa — czego należy unikać, a co robić. Zbyttnio się z miłością dla pana wojewody nie chwalcie, ani okazujecie że mu we wszystkiem jesteście podlegli, to by od was ich odstręczyło. Lepiej choćbyście czasem i plunęli na nas, mruknęli a stęknęli.

Za to was kochać będą, królewicz go nie lu-

bi, Magnus mu zazdrości i lęka się, a co przy nich jest wszystko nasze wrogi. I wy też w to grać musicie.

Strzegoń głową potwierdzał. Rad nie rad musiał słuchać do zbytku długiej nauki, którą Strzepa nie jeden raz powtarzał, i jeszczeby może nią nękał starego żołnierza, gdyby kury piąć nie zaczęły i dzwonek do chóru nie odczuwał się w klasztorze. Dopiero go odpuścił. Strzegoń głowę zwiesiwszy powlókł się na swoje posłanie.

Nazajutrz przez dzień cały, pojedynczo wołał do siebie wojewoda zebranych dowódców i umawiał się sam na sam z nimi. Przyjmowano ich gościnie, obdarzono, pojono i karmiono, a wielkie obietnice na przyszłość czynił Sieciech i Strzepa.

Trzeciego dnia okrytych sukniami kosztownymi, opatrzonych we zbroje nowe, odpuścił dopiero wojewoda, zapewniwszy się iż wolę jego spełnić są gotowi.

Po odjeździe dowódców, gdy jeden Strzepa pozostał, w obecności Opata Benedyktynów, którego z wielką czcią na dworze przyjmowano, właśnie gdy siedzieli na rozmowie, posłaniec nadbiegł pilny, jakoby od czeskiej granicy.

Wobec gości tych, dworu i mnóstwa czeladzi, goniec sprawił swe poselstwo, donosząc że z nad granicy czeskiej wiadzano napewno, iż napad na Szląsk się gotował.

Przysłany był z tém, aby się co najrychlej do

odparcia i obrony miano, siły gromadzono, gdyż na Wrocław Czesi się sposobili.

Wieść ta rzucona tak jawnie popłoch sprawiła wielki; wojewoda wziął bardzo do serca niebezpieczeństwo, i natychmiast chciał jechać z tém do króla.

— Bez króla pana naszego,—rzekł do Opata,—ja synom jego rozkazywać nie mogę i niechcę; królewiczowi Bolkowi potrzeba naprzód dać znać, aby się starał zamach uprzędzić i szedł na granicę czeską.

Na całą noc jadę do Płocka...

Natychmiast posłańców wyprawiać zaczęto na wszystkie strony, Strzepa też na koń siadł, a wojewoda jakby w przededniu wojny, ledwie żonę i syna uściskawszy, przed świtem jeszcze puścił się do Płocka.

Umyślnie puszczoney postrach napaści czeskiej rozbiegł się po kraju, chciano ażeby do Wrocławia nie z jednych ust doszedł. Zręcznie podano wieść przez duchownych, wojsko i ziemian, którzy łatwo uwierzyli pogłosce.

Od grodu do grodu jadąc, wojska i załogi do pochodu nakazując, Sieciech zdążył do Płocka. Zatrzymywał się umyślnie po drodze, ażeby wiadomość o napadzie uprzędziła go. Chory król którego nie oszczędzano, zafrasował się i strwożył mocno o dzielnicę Bolkową i ukochanego syna. Wysłał po Sieciecha i czekał nań jak na zbawcę.

Nadjechał wojewoda tak pożądanym, a nim zbroję podróżną zdążył złożyć z siebie i przeodziać się, już komornicy króla biegli, aby ku niemu pospieszał. Słaby król w obawie niewysłowionój, bronił się modlitwami; nakazano nabożeństwa po kościołach na odwrócenie niebezpieczeństwa.

— Zbawco mój! — zawołał król do wchodzącego, — spiesz na ratunek! — W tobie nadzieja! — Szląsk i Bolka ratować potrzeba co najrychlej!

— Miłościwy panie — odparł Sieciech, — dano i mnie znać o tém, byłoby się już coś uczyniło, nie chciałem rozkazywać bez was. Wy musicie rozporządzić.

— Ślijcie natychmiast pulki w pomoc do Wrocławia! — wołał Władysław.

Królowi każda chwila stracona była groźną, naglił więc trwożliwie, aż wojewoda chcąc dać czas Strzegoniowi aby sobie królewicza zjednał, zaręczył że czeska wyprawa nie tak rychło miała nastąpić, i wiedział pewno że dopiero z początkiem jesieni nastąpić mogła. Na przygotowania więc, na uprzedzenie jęj dosyć było czasu. W ówczesnych wojnach prawidłem było niemal, zamiast stawiać czoło nieprzyjacielowi, pospieszyć przed nim i kraj mu spustoszyć. Tak chciał Sieciech uczynić.

Król mało się co zapewnieniami jego dał uspokoić, sama jednak przytomność wojewody zna-

eznie trwogi ujęła, bo na jego ramiona król mógł złożyć staranie o obronę.

Wojewoda umiał dobrze w pańską myśl ugodzić, zarówno rozdrażnić go i ulagodzić. Królowa pomagała skutecznie i zwołna chory do zwykłego wrócił stanu. Jak trzcina za wiatrem chylił się gdzie chciał wojewoda.

Z obawy o ukochanego Bolesława, z początku król, chciał się kazać Zbigniewowi do niego przyłączyć. Byłoby to popsulo wszystko i utrudniło zasadzkę; Sieciech więc starał się przekonać Władysława, że od pomorskich granic sił nie można było odciągać, a to co Bolkowi posyłano, starczyło na zwyciężkie Czechów odparcie, bo ei się nie spodziewali zastać gotowych.

Zbigniew, choćby wiedział był o niebezpieczeństwie brata, z pomocą dlań pewnieby się był nie kwapił.

Trwała jeszcze zgoda i miłość między braćmi na pozór, lecz starszy znacznie ostygł i do Gniezna się usunawszy, milczał.

Tu wpływ Grety przygotowywał go do przyszłych a nieuchronnych zapasów z Bolkiem, a niemka zręcznie do zemsty i zdrady podbudzać umiała. Pod okiem arcybiskupa nie śmiałby był jawnie ją na dworze okazywać Zbigniew; ukrywano więc przed duchownemi tę zdobycz, aby królewicz za rozpustę i złe życie nie był strofowany. Wolno było dawniej książętom brać

kogo cheieli i zrazu obyeczajom starym folgowano, patrząc na to przez szpary; teraz duchowieństwo surowsze eoraz wymagało ślubów i błogostawieństwa kościelnego.

Sędziwy areybiskup mało wiedział co się na książęcym dworze działo; łatwo przed nim było osłonić niemkę, która w osobnym dworcu siedziała, a Marko w razie potrzeby, miał się jej mężem uznawać.

Płocha niemka tego muiemanego małżonka swojego przyjmowała dosyć chętnie, zabawiając się jego opowiadaniem i żartami; Marko też wołał być u niej na straży niż na wałach i przy koniach.

Przez Grete i Marka wojewoda Sieciech uwiadomiony był o tém co się tu działo i w potrzebie się spodziewał Zbigniewem kierować.

Życie w Gnieźnie gnuśnie się wiodło; król wicz o nie nie dbał więciej krom wspaniałości i blasku jakim się otaczał. O rycerskich sprawach myśli ni mowy nie było, a choć dla oka sprawiano zbroje, zbierano konie, psy i sokoly, Zbigniew ani spytał o nie, ehyba gdy miał występować i cały tabor ten za sobą dla okazania swój potęgi i wielkości prowadził.

Resztę czasu spędzał z lada kim, byle mógł się z wymową i rozumem popisać, znalazł ktoby go słuchał i potakiwał a chwalił.

Z zamku ruszał się rzadko, ehyba go który

z możnych na łowy i ucztę zaprosił. W tych wyprawach po dworach i on i ludzie co z nim byli najczęściej sobie nieprzyjaciół robili, bo się, nie obeszło bez kłótni i swawoli. Po drodze jadąc zabierano strawę, pędzono podwody, wybierano ludziom zboża.

Z skargami przybywających do siebie przyjmował też Zbigniew niechętnie, częstokroć długo im każąc czekać na siebie, występując okazale, ale karmiąc lichu; z prostodusznych ludzi wyśmiewając się w oczy bez litości. On co pismo znał miał się za najmędrszego ze wszystkich. Mało kto rad był z tego pana. Szczerali władcy, arcybiskup tylko bronił go, bo przed nim układać się umiał, obiecując, że z niego człowiek urosnie do rządów i państwa obrony.

Dnie częstokroć całe schodziły na tём, że na wpół leżąc, pół siedząc na ławie, Marka trzymając u progu, królewicz prawił mu co uczyni, jakie przedsięwzięcie kroki dla opanowania władzy; jak wszystkich podejdzie, pozbędzie się i jaki dwór naówczas Cesarskiemu dorównywający na stolicy swój osadzi. Toż samo wieczorami powtarzał Grecie i zaufanym kilku duchownym, których zapraszał, aby miał z kim rozmawiać i przed kim się chwalić z roznosem.

Przesiedziawszy dni kilka gnuśnie, zmęczony kazał występować drużynie, trębaczom, czeladzi i ze wspaniałym orszakiem wyruszał do którego

z grodów, zabawiając się tém, iż ludzie przed nim na kolana padali i tłumnie się zbierali przypatrywać dworowi jego...

Z wielką wrzawą wjeżdżano do każdój osady, ciągniono powoli, czeladź dokazywała, a Zbigniew tém nudy swe rozrywał.

Czasem na wspomnienie rycerskich czynów Bolka, napadała go chętką spróbowania siły i zręczności, niedługo to jednak trwało, bo mimo pomocy dworzan, Zbigniew nie dał sobie rady z ořeżem i koniem: zły powracał, gniewając się na wszystkich za własną niezgrabność. W końcu też począł utrzymywać, że dla wodza niepotrzebną jest siła dłoni, ale rozum i przebiegłość. Naśmiewał się z Bolka, że na równi z prostym ludem do boju chodzi, bo nic innegoby niepotrafił.

Sławili wielkość pana pochlebcy co go otaczali, z Markiem na czele; ale Sobiejucha nawet niebardzo wierzył w to, aby doszedł czego pragnął i o czém tak szeroko lubił rozprawiać. Oprócz arcybiskupa, który mało co widział, wszyscy zwątpili o nim, bliżej nań patrząc, a gdy ze swemi będąc odzywał się o ojcu, o bracie i o tych, którym winien był ocalenie, widzieli, że i na serce w nim rachować nie było można. Pochlebstwo jedno trafiało doń, choćby najmniej zręczne. Marko umiał co chciał zyskać n niego, nancyła się Greta, naśladowali ich inni.

W tej bezczynności siedząc i czekając aby los za niego coś robił, posyłał Zbigniew szpiegi na dwór ojca, do Wrocławia i Sieciechowa i zabawiał się przynoszonymi wieściami, z których zawczasu przyszłość dla siebie najszcześniejszą wróżył.

Koniec tomu 2go.



Biblioteka Raczyńskich

JK 986



JK0986